

28
BOOTH TARKINGTON

SIEDEMNASTA WIOSNA

przekład autoryzowany
J. SUJKOWSKIEJ

TOM II



WARSZAWA
BIBLIOTEKA GROSZOWA

BIBLIOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR STANISŁAW MIKOŁAJ ŁUBA

WYDAWCA BIBLIOTEKA GROSZOWA

Warszawa, ul. Moniuszki 11. Konto w P. K. O. 11.140.

WARUNKI PRENUMERATY:

Z przesyłką pocztową:

kwartalnie (za 13 książek) Zł. 9 gr. 95.

a w oprawach „ 13 „ 95.

Prenumeratę przyjmuje Administracja
Biblioteki Groszowej i wszystkie urzę-
dy pocztowe.

Ilustrowane katalogi gratis i franko.

I

WIELKI, TŁUSTY CHAM

W blaskach porannego słońca pani Baxter, stojąc na najwyższym stopniu schodków, wiodących na werandę, przemawiała do syna, który słuchał niecierpliwie i za każdym razem, gdy przestąpił z nogi na nogę, posuwał się kawałek ku bramie.

— Wilusiu — mówiła — musisz doprawdy liczyć się z wymaganiami zdrowia, bo inaczej nigdy nie dożyjesz do późnego wieku.

— Wcale nie chcę dożyć do późnego wieku — rzekł poważnie Wilhelm. — Wolę raczej teraz robić, co mi się podoba, i umrzeć trochę wcześniej.

— Mówisz bardzo niemądrze — odparła matka. — Albo wróć się i włóż coś cieplejszego, albo zabierz płaszcz.

— Płaszcz! — jęknął Wilhelm. — Pomyśleliby, że jestem warjatem, zabierając ze sobą płaszcz w sierpniu!

— Ale nie na piknik! — rzekła.

— Powiedziałem mamusi sto razy, że to nie jest piknik. Mamusia myśli, że to jest coś takiego staramodnego, na jakich *mamusia* bywała — co to się siedziało na mokrej ziemi i jadło sardynki, które mrówki oblażyły! To nic takiego nie jest; poprostu wyjeżdżamy wozem do tego folwarku, zjadamy w południe obiad, tańczymy całe popołudnie, zjadamy kolację i wracamy do domu tak samo wozem. Sądzę, że chybabyśmy nie przygotowali nic tak przestarzałego, jak piknik, na cześć panny *Prattl*

Na pani Baxter nie zdawało się to robić wrażenia.

— To nie o to idzie, Wilusiu, czy nazwiesz to piknikiem, czy nie. Będzie ci chłodno w powrotnej drodze na odkrytym wozie, zwłaszcza, że masz tylko te białe spodnie...

— Piekło i szatan! — wykrzyknął. — Mam na sobie i inne rzeczy oprócz spodni! Chciałbym, żeby się *mamusia* stale tak do mnie nie odnosiła, jakbym był zupełnem dzieckiem! Wielkie nieba! Czy *mamusia* przypuszcza, że człowiek w moim wieku jeszcze nie wie, co ma na siebie włożyć?

— Jeżeli tak — rzekła — to jest to jedynie przypuszczenie, nieoparte na faktach. Proszę cię, Wilusiu, żebyś się tak nie denerwował, ale albo będziesz musiał wyrzec się pikniku, albo pójdziesz się prze...

— Przebrać się! — załamentował. — Ja nie mogę

się przebierać. Mam tylko dwadzieścia minut czasu na dojście do Parcherów—wszyscy się tam zbierają i mają wsiąść na wóz przed domem Parcherów, dokładnie kwadrans po jedenastej. Proszę, niech mnie mamusia nie zatrzymuje—*muszę iść!*

Weszła do holu i natychmiast ukazała się zpowrotem.

— Masz płaszcz, Wilusiul

Na twarzy chłopca malowała się rozpacz.

— Pomyślą, że warjat, i wszystkim to powiedzą—i wcale im się nie dziwi! Płaszcz na taki gorący dzień, jak dzisiaj! Z wyjątkiem mnie—nie przypuszczam, żeby kto taki kiedy żył na świecie i miał prawie osiemnaście lat, i musiał dźwigać ze sobą wszędzie swój głupi stary płaszcz w sierpniu—dlatego, że mu matka kazała!

— Wilek—rzekła pani Baxter—ty nie wiesz, ile tysięcy, tysięcy matek przez tysiące, tysiące lat uchroniło swoich synów od przeziębienia się tysiące, tysiące razy — w ten właśnie sposób!

Zajęczał.

— Więc na to wychodzi, że mają mnie nazwać warjatem, dlatego, że mamusia jest nerwowa. Dobrze!

Zarzuciła mu płaszcz na ramię i pocałowała; odszedł w krańcowej rozpacz.

Jednakże po przebyciu z tragiczną twarzą trzech bloków zatrzymał się przed narożną trafiką i rozjaśnił nieco na widok wystawionych w oknie „Moich

Kochaneczek", papierosów z „wyborowego kubańskiego tytoniu“, po dwadzieścia sztuk w paczce w cenie dziesięciu centów. Wilhelm nie był palaczem — to jest robił zwykle młodzieńcze eksperymenty z paleniem, ale rychło się do nich zniechęcił, i chociaż czasami uważał za „dobry ton bywalca powiedzieć żartobliwie do „kurzącego“ przyjaciela: — „Daj, spróbuję jednego z twoich gwoździ do trumny“ — to przecież nigdy w życiu nie kupował tytoniu. Ale teraz uderzyło go, że byłoby przyjemnie wziąć ze sobą na wycieczkę paczkę „Kochaneczek“.

A sama nazwa! Wywołała w nim nieopisane drżenie, tak, że aż mu oczy zaszczyły mgłą i zrobiło się gorąco. Czuł, że jeżeli zapali „Kochaneczkę“, to będzie to hołdem, złożonym cudownemu gościowi, dla którego zorganizowano tę wycieczkę — i że stanie mu się przez to jeszcze bliższa. Jego młode czoło przybrało prawie surowy wyraz determinacji, gdyż postanowił z miejsca, że w przyszłości będzie częściej palił — stanie się namiętnym palaczem i przez całe życie będzie palił „Moje Kochaneczki“, najlepsze papierosy kubańskie.

Wszedł, załatwił sprawunek odniechcenia, tak, jakby czynił coś zupełnie zwyczajnego; poczem zwrócił się do sprzedającego:

— O, ale, ale — o...

Subjekt spojrzał nań oczekująco.

— Proszę? Co więcej?

— Chciałem—rzekł prędko Wilhelm—chciałem, korzystając z tego, że tu jestem, załatwić jedną sprawę. Szedłem właśnie z tym płaszczem do — do krawca, żeby go trochę przerobił na zimę. Naturalnie nie będzie mi potrzebny przed zimą, ale pomyślałem, że dobrze będzie, jak to odrazu każe zrobić. — Urwał, śmiejąc się niedbale dla większego kontenansu. — Myślałem, że prawdopodobnie długo to będzie trzymał... zauważyłem, że on wszystko wolno robi... więc zdecydowałem się zgóry o tem pomyśleć i kazać mu się do tego zabrać. A więc szedłem właśnie do niego, ale spostrzegłem się, że mam tylko sześć minut czasu na stawienie się w bardzo ważnej sprawie, wyznaczonej na dzisiaj rano, więc chciałem go tu narazie zostawić. Wieczorem, wracając do domu, wstąpię, żeby go odebrać.

— Dobra!—rzekł subjekt. — Powieś go pan na haczyku koło kasy. Już tam jeden wisi, należy do Józefa Bullita, pańskiego przyjaciela. Był tu przed chwilą i powiedział, że go tu chce zostawić, bo nie ma czasu, żeby go zanieść do krawca i kazać wyprasować na przyszłą zimę. Potem wyszedł i przyłączył się do towarzystwa, zebranego przed domem pana Parchera, zaraz za rogiem. Jadą wszyscy wozem na wieś. Ja powiadam: „Założę się, że matka kazała wziąć płaszcz“, a on powiada: „Ach, nie. Och, nie“. On powiada: „Słowo ho-

noru, niosłem go do prasowania!" Możesz pan swój powiesić na tym samym gwoździu.

Sprzedający przestał mówić i poszedł obsłużyć innego klienta, podczas gdy patrzącemu za nim Wilhelmowi zrobiło się trochę nieswojo. Zdaje się, że miał do czynienia z człowiekiem podejrzliwej natury, chociaż, naturalnie, niedorzeczne gadanie Józia Bullita o wyprasowaniu płaszcza na zimę nie mogło nikogo wywieść w pole. Jednakże Wilhelm pomyślał w głębi duszy, że pracownicy sklepowi nie powinni wglądać w prywatne życie klientów i poddawać je krytyce, to też powziął momentalnie niechęć do niedyskretnego subiekta.

Pomimo to, pozostawiwszy płaszcza za sobą, wyszedł bocznymi drzwiami trafiki i ujrzał opodal grupę strojnej młodzieży—około trzydziestu osób—zebranej na małym trawniku przed domem pana Parchera.

Wśród nich stała panna Pratt w bieli i heljotropie, tuląc w ramionach Flopita. Otaczała ją gromadka dziewcząt, pieszczących entuzjastycznie znudzonego i zaspanego Flopita. Na widok tej czarującej grupy Wilhelmowi zabrakło tchu, zrobiło mu się zimno w kolana, które zaczęły konwulsyjnie podrygiwać, a gorąco w szyję, podczas gdy całe ciało pokryło się lekkim potem.

Ujrzała go i skinęła na powitanie małą blond główką w czarującym, lekkim kapelusiku. Wtedy usta otworzyły mu się bez jego wiedzy, i oczy

zrobiły się szklane skutkiem intensywnie znaczącego spojrzenia, jakie jej posłał w niemej odpowiedzi przez żerdki parkanu i przerwy w dzielącej ich grupie. Przyciskając łokciem kieszeń, zawierającą paczkę papierosów, mruknął niedosłyszalnie: „Moja Kochaneczko, zawsze twójl“, co było ponowieniem ślubu, że cokolwiekby się stało, on na zawsze pozostanie palaczem tego symbolicznego gatunku papierosów. W samej rzeczy, stan umysłu Wilhelma nie okazał nawet chwilowego polepszenia od fatalnego dnia przybycia niebezpiecznego gościa.

Panowie Janek Watson i Józio Bullit spotkali go w bramie i serdecznie się z nim przywitali. Między trójką ustaly już wszelkie waśnie i spory. Dama była tak zadziwiająco bezstronna, że z biegiem czasu nieszczęśnicy poczuli się raczej bliżsi sobie nawzajem, niż bardziej obcy, skutkiem jednakowych uczuć; stały się one łączącym ich węzłem—nietylę byli rywalami, ile gorącymi adeptami, służącymi przy jednym ołtarzu, przed którym każdy oddawał cześć, nie zyskując żadnych widocznych większych łask, niż pozostali. Nawet doszło do tego, że każdy z nich posiadał w oczach dwóch pozostałych prawie świętość, jako przebywający w blaskach niebiańskiej chwały. Byli dla siebie czuli. Byli już w ostatniem stadjum tego rozkosznego stanu.

Janek Watson przyprowadził tego dnia ze so-

ba swego własnego gościa—kolosalnego osobnika lat osiemnastu, który na jego skinienie opuścił chwilowe towarzystwo ładnej panienki i poszedł ku wchodzącemu przez bramę Wilhelmowi.

— Chcę cię przedstawić moim dwóm najserdeczniejszym przyjaciołom, Grzesiu—rzekł Janek z niepewną powagą człowieka, mającego spełnić coś ważnego i niezwykłego.—Panie Baxter, pozwól pan sobie przedstawić mego kuzyna, pana Croopera; panie Crooper, to jest mój przyjaciel, pan Baxter.

Panowie podali sobie uroczyście ręce ze słowami: „Bardzo mi przyjemnie pana poznać”, a Janek zwrócił się do Józia Bullita. „Panie Croo... panie Bullit, pozwól pan sobie przedstawić mego przyjaciela, pana Croopera, chciałem powiedzieć, mego kuzyna, pana Croopera. Pan Crooper jest moim kuzynem.

— Bardzo mi przyjemnie pana poznać, panie Crooper—rzekł Józio.

— A więc przypuszczam, że jesteś pan kuzynem Janka?

— Tak jest—rzekł pan Crooper.—Janek napisał, żebym przyjechał na tę hecę, więc niewiele myśląc, przyjechałem.—Roześmiał się głośno i inni zaśmieli się tak samo serdecznie.—Tak, panie tego—dodał—pomyślałem, dlaczego nie mogę przyjechać, bo zawsze bardzo się przydaje, kiedy jest co do zrobienia.

— To doskonale—rzekł Wilhelm, podczas gdy wszyscy znów się roześmieli.

Pan Crooper wymierzył kuzynowi jowialnego klapsa w plecy.

— Hi, hi! zabawa!—zawołał.—Chcę się poznać z tą panną Pratt, zanim ruszymy. Wóz zaraz nadjedzie, a ja wybrałem ją sobie, żeby przy niej siedzieć.

Śmiech Wilhelma i Józia Bullita, mający wyrażać serdeczność, nagle załamał się i skończył. Gdyby pan Crooper był wrażliwą osobą, byłby dostrzegł w ich oczach chłodną naganę, gdyż właśnie zaczął robić na nich jak najniekorzystniejsze wrażenie. Niedbała hałaśliwość—prawie bezczelność, z jaką wymówił nazwisko panny Pratt, domagając się swobodnie, by go jej przedstawiono, bez względu na dobrze znane prawo, że w takich sprawach dama musi wprawdzie wypowiedzieć swoje życzenie—to wszystko wskazywało na gruboskórą naturę, z pewnością więcej niż nieodpowiednią na partnera dla panny Pratt. Jego obecność mogłaby przejąć ją niesmakiem do całej imprezy—mogłaby popsuć jej cały dzień. Obaj panowie, Wilhelm i Józio Bullit, zaczęli się dziwić, dlaczego, u licha, Janek Watson okazał się na tyle nierozsądnym, żeby zapraszać na wycieczkę takiego wielkiego, tłustego chama.

Ten surowy epitet, który prawie jednocześnie urodził się w dwóch mózgach, niezupełnie mijał

się z prawdą jako dorywcze określenie pana Grzegorza Croopera. Jednakże imponował on zwłaszcza rozmiarami nóg i brody. W siedemnastym-osiemnastym roku życia jeszcze się rośnie czasami w sposób sporadyczny, to znaczy, że niektóre części zdają się rozrastać prędzej, niż inne. Często rysy nie są zupełnie zharmonizowane, na przykład usta zdają się tak przewodzić nad resztą twarzy, że nawet rodzona matka może się obawiać, że reszta nigdy ich nie dogoni. Często również i głos wydaje się nieodpowiedni; słyszy się za drzwiami dudnienie basu strasznego olbrzyma i wchodzi potulny chłopczyk, chudy jak świerszcz. Wprost przeciwnie było z Grzegorzem Crooperem, głos jego był to niespodziewany świszczący tenor, napół falset; często przybierał dziewczęce brzmienie — tak zdumiewające, jak absurdalny głos słonia.

Jego ogólny wygląd zewnętrzny przypominał wielkie, spasione dziecko. Broda tak zdystansowała inne rysy twarzy, że oczy, nos i czoło wydawały się w porównaniu z nią prawie niemowlęce, podczas gdy kolosalne nogi były największą częścią jego korpusu. Był on jednym z tych olbrzymich butelkowatych chłopców, którzy zawsze są w ruchu pomimo swej ociążałej budowy. Bezustannie gestykulował, co miało stanowić niemożliwą do zrozumienia ilustrację do jego bezustannej rozmowy; we wszelkich okolicznościach poruszał bezustan-

nie swemi wydatnemi nogami, czy szedł, czy też pozostawał we względnie jednym miejscu.

Wyraz jego twarzy był wzruszająco bezczelny, co było rezultatem słodkiego zaufania w głośnie opinie małego miasteczka, którego najbogatszym mieszkańcem był jego ojciec — i jego rysem, bardziej jeszcze uderzającym niż broda, nogi i upodobanie do kolorowych flanel, było szczere przeświadczenie, że jego widok jest tak pożądany dla każdego, jak dla jego matki. Mogło go to pewnego dnia narazić na wielkie cierpienia, ale przy okazji „składkowej wycieczki” dla panny Pratt dało dużą przewagę nad innymi.

— Kiedyż ja się zapoznam z tą dziewczynką? — nalegał. Janek Watson cofał się tyłem od kuzynowskiej ręki, grożącej mu dalszem biciem.

— Przedstawiłeś mnie chyba siedmiu dziewczętom, które mnie *nic* nie obchodzą, a ja, ja chcę załatwić z panną Pratt te wszystkie formalności, żebyśmy się czuli swobodnie. Zajmę ją na cały dzień!

— Nie śpiesz-no się tak — rzekł niespokojnie Janek. — Możesz się z nią zapoznać, kiedy będziemy na wsi, jeżeli znajdę okazję, Grzesiu.

— Nie, mój paniel — zaprotestował jowialnie Grzegorz. — Widzę, że w tem mieście same zmkle kury, ale uważaj! Kiedy ja wpadnę do jakiego miasta, to niewiele czasu potrzeba, żeby wszyscy usłyszeli, że się coś dzieje! Wiesz, Janek, jaki ja

jestem, kiedy się do czego zabiorę!—Tu zwrócił się do Wilhelma, wpychając serdecznie swoją tłustą rękę pod chude ramię Baxtera.—Hi, hi, hi! Zabawa! Pocziwy Janek taki opieszawy, więc *pan* mnie wtryni i zapozna z tą panną Pratt i powiem jej, że z pana prawdziwy zuch — jak się zaręczymy!

Widocznie ten straszliwy Grzegorz—był prawdziwym biczem bożym.

II

„NIE WIM DLACZEGO”

Wilhelm wyrwał mu ramię, mrużąc niewyraźnie jakieś słowa, które zgubiły się w ogólnym krzyku: „Wóz jedzie!” Młodzież wysypała się przed bramę, i gdy wóz stanął, zaczęła się nań wdrapywać. Przez chwilę panował pośpiech i zamieszanie. Wilhelm usiłował się przepchnąć rozpaczliwie do panny Pratt i wdrapać na wóz tam, gdzie ona siedziała, ale pan Grzegorz Crooper utorował sobie w tłumie drogę w sposób wesół, choć chamski, i tłuste plecy w purpurowo białym spencerku spłaszczyły nos Wilhelma, podczas gdy ciężkie obcasyszyły uszkodziły czubki jego butów. Został odepchnięty i udało mu się wdrapać na stopień właśnie, gdy wóz ruszał. Przyjacielska ręka Józia Bulita wciągnęła go na siedzenie. Trąc nos, usadowił się między Józiem i Jankiem Watsonem, bezpośrednio za plecami zamaszystego Croopera i pan-

ny Pratt. Pan Crooper zdążył już wziąć na kolana Flopita.

— Psy poprostu szaleją za mną—doleciały do ich uszu słowa grubasa, gdyż jego wysoki, cienki głos górował aż nadto nad wszystkimi innemi dźwiękami.—Psy i dzieci. Nie wiem dlaczego, ale zawsze się do mnie przywiązują. Nazywam się Grzegorz Crooper i jestem ciotecznym bratem Janka Watsona. Chciał mnie pani przedstawić przed nadejściem wozu, ale nie miał sposobności. Sądziłem, że ponieważ tę grandę dla pani urządzili, a ja jestem jedynym, drugim, pozamiejscowym gościem, będziemy musieli przedstawić się sobie—niby dwoje honorowych gości.

Panna Pratt zaśmiała się srebrzystym śmiechem, mruknęła grzecznie swoje nazwisko i zwróciła na sąsiada wcale niemrożące spojrzenie. W samej rzeczy, zdawało się, że daleko jej było do traktowania go z taką niechęcią, jaką dlań powziął Wilhelm i Józio Bullit. Usłyszeli, jak mówiła: „Flopit taki się wydaje malusi, taki tyci, Flopit taki malusieńki na wielkich, ogromnych, olbzymich męskich kolanach!”

Pan Crooper zaśmiał się skromnie.—Aha, wygląda na małego w porównaniu z pocziwym jegomościem, który się nim teraz zaopiekował. Zawsze byłem dużo większy w porównaniu z facetami, z którymi się zadawałem. Nie wiem dlaczego, ale byłem też zawsze najzwinniejszy—i najsilniejszy

ze wszystkich ludzi, z jakimi się zetknąłem. Przypuszczam, że jestem porządnie muskularny, ale to mi nie przeszkadza być zwinnym. Niech mnie pani wsadzi do samochodu—mam w domu wyścigowe auto... i nie stracę głowy, tak, jak większość ludzi. Ja lepiej się potrafię wziąć w cugle, że tak powiem; nie wiem dlaczego. Mój mózg zdaje się lepiej funkcjonować niż u innych ludzi i to wszystko. Nie chcę przez to powiedzieć, że mam więcej rozsądku, albo czegoś w tym rodzaju; poprostu mój mózg tak działa, a nie inaczej. To mi daje przewagę, że się tak wyrażę. Naprzykład, gdybym mieszkał w tem mieście i przyłączył się do nich dla zorganizowania tej wycieczki, to wszystko byłoby inaczej i jak inaczej! Ze mną tak zawsze—jeżeli wdepnę w coś ładnego, to niebawem rządę całym interesem; nie wiem dlaczego, ale tak się zawsze dzieje. Otóż gdybym ja zorganizował tę wycieczkę, tobym sprowadził automobile, nie ten wóz, gdzie wszyscy muszą razem siedzieć, i posłałbym do domu po mój mały samochód wyścigowy i zabrałbym nim ze sobą panią. W każdym razie żałuję, że po niego nie posłał. Mogłaby reszta jechać wozem, a ja i pani razembyśmy pomknęli; chciałbym, żeby pani zobaczyła tę moją maszynkę. No, więc w każdym razie założę się, że zobaczyłaby pani coś innego i o całe niebo lepszego, gdybym przyjechał na czas i zorganizował dla pani tę wycieczkę!

— Dla *nas* — poprawiła ze słonecznym uśmiechem panna Pratt. — Oboje obcy goście — wy-cieczka dla nas dwojga — obojga! — I posłała mu jedno swoje spojrzenie.

Pan Crooper zarumienił się ze wzruszenia, za-anektowano go; spoważniał. — Ach! — rzekł — jaki pani ma przepiękny kapelusz. — I wskazującym palcem dotknął puszystego ronda. Jego tłuste ramiona pochyliły się ku niej zaborczo.

— Na pewno byśmy się lepiej ubawili, mknąc razem tym moim wyścigowcem — rzekł. — Chciałbym, żeby pani widziała, jak ja ten drobiazg prowadzę; dziewczęta tam u nas mówią, że lubią ze mną jeździć dla przyjemności patrzenia, jak ja go prowadzę; mówią, że nietyle znaczy przejażdżka, ale więcej sposób, w jaki ja prowadzę moje autko. Nie wiem dlaczego, ale tak one mówią. Otóż w taki sposób robię wszystko, do czego się wezmę. Nie próbuję się brać do wszystkiego — jest wiele rzeczy, któremi bym się, że tak powiem, dostatecznie nie interesował, ale niech się tylko raz zapalę, wszystko idzie jak z płatka, sam nie wiem dlaczego. Był na kolei nowy brekowy: nie wiedział, kto ja jestem. Otóż ja położyłem mu rękę na ramieniu i pchnąłem go na jego siedzenie, o tak — położył rękę na ramieniu panny Pratt. — Nie chciałem go uderzyć, bo w wagonie były kobiety i dzieci, więc tylko przysunąłem blisko twarz do jego twarzy, o, tak... — „Sądzę, że wiecie, ile mój ojciec ma ak-

cyj w tej kolei," powiadam. Czy się zdetonował? Szkoda, że pani nie widziała miny tego brekowego, kiedy mu powiedziałem, kto ja jestem!

— Skaradny, wstrętny brekowiec! — rzekła, ani trochę nie zachwiana w swej sympatji dla wymownego grubasa panna Pratt.

Tłusta ręka pana Croopera niby bezwiednie przesunęła się po delikatnem ramieniu panny Pratt i cofnęła się z widoczną niechęcią. — Taki już jestem — powiedział. — Pomimo że niemało świata widziałem, nigdy nikt nie próbował zgóry mnie potraktować, ktoby uszedł z tem bezkarnie. Zawsze moje nawierzchu, nie wim dlaczego. O, jaki ma pani śliczny medaljonik na tym łańcuszku. — I znów, wyciągnawszy rękę, gestem właściciela zaczął oglądać medaljon.

Tuż za nim trzy gorące serca pulsowały dlań intensywną nienawiścią, gdyż Janek Watson spostrzegł swój błąd i solidaryzował się w uczuciach z Józiem Bullitem i Wilhelmem. Ból tych trzech bezradnych widzów był tem dotkliwszy, że nie tylko byli świadkami wielkiego wrażenia, jakie Grzegorz Crooper robił najwidoczniej na pannie Pratt, ale i sami nie mogli się oprzeć analogicznemu wrażeniu.

Nie umieli analizować: w dobrej wierze wzięli Grzegorza za to, za co sam się podawał, i nawet nie byli w stanie zarzucić mu braku skromności. Czyż jego oświadczeniom nie towarzyszył zawsze

lekki falsetowy śmieszek i niejako oficjalne wyparcie się zasługi w zdaniu: „nie wim dlaczego”? Był to rzeczywiście groźny rywal — podróżnik, światowiec o żywszej i głębszej inteligencji, niż ktokolwiek inny; atleta, ale rycerski — nawet brekowanego nie chciał „sprać” w obecności kobiet i dzieci — i wkońcu — rzecz najbardziej godna zazdrości i najniebezpieczniejsza — właściciel i kierowca „małego wyścigowca”. Cały ten blask był poprostu olśniewający, a jednak, przyjmując go za fakt, żaloszna trojka była nielogicznie przeświadczona, że pomimo wszystko Grzegorz jest tylko wielkim, tłustym chamem.. Szeptali tak do siebie nawet dosyć głośno — jakby w nadziei, że ich może usłyszy panna Pratt, a może i sam Grzegorz.

Gniew ich był bezsilny. Zwycięski Grzegorz prowadził w dalszym ciągu akcję podbojową; pochylał się coraz bardziej ku magnetycznej pannie pod wpływem wzrastającej czułości, a głowa jego tak była blisko jej twarzy, że co chwila dotykał spoconem czołem jej lekkiego kapelusza. Z natury był ruchliwy i niespokojny, ale to ciągłe kręcenie się ani na chwilę nie wytwarzało większej odległości między nim i panną Pratt, chociaż czasami przeszkadzało pannie Parcher, siedzącej po jego drugiej stronie — stronie, która zdawała się być pozbawiona wszelkiego czucia. Bawił się naiwnie medaljonikiem panny Pratt i ażurowym brzegiem jej kołnierza; przez czas pewien trzymał nosisko

w jej małej chusteczce, wciągając głośno zapach jej perfum; wkońcu zainteresował się jej pierścionkiem; zdjął go i próbował napróżno wepchnąć na jeden ze swych grubych palców.

— Nosilem dużo panieńskich pierścionków przy dewizce. Pozwoliłem im nosić mój na łańcuszku albo czem innem, przypuszczam, że one to muszą lubić—rzekł—nie wiem dlaczego.

Na to subtelne napomknienie trzej nieszczęśliwcy powstrzymali oddech, a potem o mało się nie podusili ze wściekłości, gdy śliczna dziewczyna zgodziła się na straszliwą zamianę. Co do Wilhelma, to życie straciło dlań wszelką wartość. Z błękitnego nieba tego obiecującego jasnego poranku spadł całun, spowijając jego duszę w czerń i purpurę. Kiedy po raz pierwszy krępy paluch Grzegorza Croopera dotknął lekkiego ronda świętego kapelusika, ogarnęło go bolesne przerażenie, potem—w trakcie późniejszych Grzegorzowych dotykań i pochyień Wilhelm czuł, że albo wstanie i zamorduje go, albo zwarjuje. Ale kiedy dokonano zamiany pierścionków, duch się w nim złamał, i nawet uraza pierzchła. Przez czas pewien pozostało w nim jedynie poczucie niedoli.

Jego posępne oczy obserwowały konwulsyjną grę tłustych ramion, podczas gdy ciężkie łapska gestykulowały zawzięcie i wciąż dotykały panny Pratt. Uszy chwytaly ciągle nieznośne „nie wiem dlaczego”, towarzyszące pochwałom, wygłaszanym

przez pana Croopera pod swoim własnym adresem i przyjmowanym przez pannę Pratt cieniutkimi okrzykami podziwu i słodkim, dziecinnyim szczebiotem. Była to długa piekielna jazda.

III

SYDNEY CARTON

Na farmie, gdzie towarzystwo miało zjeść obiad, panna Pratt odkryła z radością w bawialni stary szpinet i, zasiadłszy, w otoczeniu wszystkich dziewcząt, Flopita i pana Grzegorza Croopera, zagrała akompanjament, podczas gdy Grzegorz cienkim, obrzydliwie słodkim tenorem zaśpiewał: „Zakochałem się w Jednej”.

Jego popis został przyjęty z zachwytem, zwłaszcza przez akompanjatorkę.

— Och, cacany Wujek Gzesik! — zawołała, gdyż taka nazwa dostała się grubemu dżentelmenowi. — Jeżeliby Janek Mc Cormack usłyszał Wujka Gzesika, zastselilby się na śmierć. — Bum! — Obejrzała się, gdzie na tyłach widniały trzy posepne postaci. — Wszyscy śpiewać razem, gruby Klusek Józwa-Józik, Janek Skakanek i Mały Chłopcyk Baxter. Od początku na nowo. Wujku Gzesiku! Chłopcy i dziewczynki, wszyscy chórem! Zacynać!

I tak odbywały się te rozdzierające serce popisy, dopóki nie położył im końca Wal Banks, altruistyczny, spocony młodzieniec, który zajął

się listą składkową i w następstwie—ściągnięciem pieniędzy. To upoważniało go do kwaśnej miny i do odgrywania roli mistrza ceremonji. Wskoczył na krzesło.

— Panowie i panie—zaryczał. — Chcę powiedzieć... to jest... ach—proszono mnie o oznajmienie, że przed obiadem mamy zwiedzić folwark i wszystko obejrzeć, gdyż ma to być rodzaj wzorowej farmy czy też ma być coś takiego. Jest tu jedna pani Szwedka, nazywa się Anna, i ona ma nas oprowadzić. Czeka tam na podwórzu, więc proszę wszystkich, żeby się tam udali na obejrzenie folwarku.

Zwiedzenie folwarku było prawdopodobnie najslabszem z pragnień Wilhelma. Pragnął tylko skończyć w jakimś spokojnym kącie w nadziei, że dostanie się to do wiadomości panny Pratt i że po niewczasie zrozumie, co straciła w Małym Chłopcu Baxterze. Ale poszedł z innymi za Szwedką, panią Anną, i kiedy stał w mrocznym rozległym śpichlerzu, nagle zrobiło mu się lepiej.

Panna Pratt odwróciła się doń niespodziewanie i podała mu Flopita. — Tsymać wygodnie pieska Flopita—szepnęła.—Flopit najlepiej kocha stałych psyjaciół.

Wilhelmowe serce skoczyło w piersi, a po całej jego osobie rozlało się wesołe ciepło. I chociaż obrzydły tłuszcioch zaraz powiodł pannę Pratt ku przodowi—wziąwszy ją za łokieć—by wysłu-

chała opisowych uwag Szwedki, to przecież dusza Wilhelma pozostała wniebowzięta i oczarowana. Nie powiedziała „lubi”. Powiedziała: „Flo-pit najlepiej *kocha* stałych psyjaciół!” Wilhelm prze-pchnął się odważnie ku przodowi i stanął możliwie blisko, z prawej strony panny Pratt—po lewej sterczał Grzegorz. W chwilę później pożałował, że nie pozostał wtyle.

Stało się to skutkiem niepotrzebnej otwartości Szwedki, która zwięźle wykazywała skuteczność różnorodnych gospodarskich urządzeń. Uwagę jej zwróciła przechodząca, dumnie rozgdakana kura, wobec czego uznała za stosowne roześmiać się i powiedzieć:

— Właśnie zniosła jajko.

Wilhelm zadrżał. Taka ordynarność w obecności panny Pratt była nie do pomyslenia. Umysł jego wprost odrzucał możliwość takiej sytuacji, nie chciał przyjąć, że takie słowa istotnie wypowiedziano w takiej obecności, a przecież była to prawda; w jego sceptycznych uszach dzwoniło jeszcze: „Właśnie zniosła jajko!” Zacerwienił się na całej skórze i odwrócił oczy, które zrobiły się szkliste ze wstydu.

Nietylko on sam zgorszył się sprosnością Szwedki. Józio Bullit i Janek Watson, znajdujący się na skraju grupy, podeszli do Wala Banksa, odciągnęli go na stronę i z gorączkową elokwencją wykazali mu całą odpowiedzialność, jaką wziął na

swoje barki. Jego obowiązkiem było, dowodził gorąco, pomówić natychmiast z tą nazbyt swobodnie się wyrażającą Anną i nauczyć ją przyzwoitości. Wal był prawie tak samo, jak i oni, przerażony jej swawolną uwagą, ale wręcz odmówił zgody na ich propozycję, zato ofiarował się mianować ich członkami komitetu, upelnomocnionego do działania w tej sprawie—na co oni odpowiedzieli niesłusznem oburzeniem, pytając, za co on ich właściwie uważa.

Nieświadoma wzburzenia, jakie wywołała w kilku męskich umysłach, Szwedka oprowadzała w dalszym ciągu towarzystwo, kontynuując swój gospodarski wykład. Wilhelm kroczył automatycznie z odwróconą głową, na nikogo nie patrząc. I wśród tej udręki był przepełniony palącą świadomością bluźnierstwa przeciwko osobie panny Pratt!

To też z niemałym zdziwieniem, kiedy towarzystwo opuściło śpichlerz, Wilhelm zorientował się, że panna Pratt nie idzie przy jego boku, ale zato siedzi sobie aż nazbyt poufale z Grzegorzem Crooperem na zwałonym pniu drzewa, na skraju brzoskwiniowego sadu, tuż za podwórzem. Obok niego szła panna Parcher, gdyż lekkomyślna para ulotniła się zaraz na początku wykładu Szwedki.

Napróżno Wilhelm pomrukiwał do siebie samego: „Flopit najlepiej kocha stałych psyjaciół”. Znów czerń i purpura zstąpiły na jego duszę, gdyż nie mógł ukryć przed sobą piekielnego faktu, że

Grzegorz zwał z panienką, podczas gdy jemu, nieszczęsnemu Wilhelmowi, pozwolono zaopiekować się pieskiem.

Tlała w nim jeszcze iskierka godności. Pomaszzerował do płotu, okalającego podwórze i, przechyliwszy się przezeń, spuścił Flopita dość gwałtownie na nóżki jego pani. Poczem bez słowa — nawet bez spojrzenia — oddalił się wyniosłe, dążąc z surową twarzą przez podwórze prosto do bramy i dalej przed siebie, dopóki nie znalazł się w samotności, z dalszej strony parnika, gdzie jego wyniosłość momentalnie go opuściła.

Tutaj, w cieniu wielkiego orzecha, osłaniającego mały budynek, dał folgę — nie łzom z pewnością — ale cichym westchnieniom i mrużeniu, powodowany impulsami tak odwiecznymi, jak sama młoda miłość. Przypuszczalnie Wilhelm uważał swoje położenie za jedyne w swoim rodzaju, ale gdyby wszyscy siedemnastoletni „mężczyźni”, którzy przeżywali takie półgodziny, mogli mu się pokazać, to uciekliby z samej trwogi przed biljonami. Niestety! cierpienia te uważał za nowy wynalazek na świecie, i z piersi jego popłynął monolog tak wymownie gorzki, że zasługiwałby na taki na przykład tytuł: „Namiętność koło Parnika”. W czasie tej niedługiej chwili, jaką spędził w odo-sobnieniu, Wilhelm przeszedł przez fazy wzruszeń, które starszemu człowiekowi zajęłyby całe tygod-

nie, a po upływie tego okresu pozostawiłyby go zlamanego na zawsze.

Ostatni nastrój Wilhelma była to piękna rezygnacja, plus kopnięcie; to jest odstąpił ją wielkodusznie Grzegorzowi z nieodpartym komentarzem, że Grzegorz jest wielkim, tłustym chamem. Malując obrazy takie, jakie przed nim malowały biljony innych młodych nieszczęśników, Wilhelm ujrzał siebie, jako smutnego, łagodnego, starego kawalera przy rodzinie, czyniącego czasem ofiarę ze swej reputacji, „żeby tylko ona i dzieci nie dowiedziały się nigdy prawdy o Grzegorzu”. Na pocieszenie dodał parę srogich scen z Grzegorzem: „Pamiętaj, to dla nich, nie dla ciebie—ty, bydlaku!”

Po tej małej ludzkiej reakcji przerzucił się na wyżyny fikcyjnej romantyczności. Umrze za Grzegorza—i wtedy ona przyniesie maleńkiego chłopczyka, którego nazwie Wilhelmem, na jego samotną mogiłę.—Nagle Wilhelm zobaczył siebie w swoim prawdziwym, właściwym charakterze — Sydney Carton! Czytał ostatnio „*Opowieść o dwóch Miastach*”, raz po raz, tyle razy, że—jakby powiedział: „umiał ją napamięć”, nawet już wtedy widział podobieństwo między sobą i żalosną postacią Carton'a. Teraz, kiedy to duchowe powinowactwo między nimi zostało spotęgowane skutkiem tego, że panna Pratt przełożyła nadeń drugiego, Wilhelm zdecydował się wstąpić na szafot w miejsce Grzegorza Croopera. Ta scena stała przed nim jak żywa; oparł-

szy jedną nogę o blaszany skopek do mleka, który ktoś przez niedbalstwo zostawił koło parnika, wzniosł oczy do bezlitosnego, błękitnego nieba i bezwiednie przybrał znaną postawę Cartona na stopniach gilotyny. Powiedział głośno te ostatnie wielkie słowa:

— To, co czynię, jest daleko, daleko lepsze, niż to, co kiedykolwiek uczyniłem; idę na daleko, daleko lepszy spoczynek, niż...

Wąsata głowa, osadzona na długiej pomarszczonej czerwonej szyi, wyjrzała z drzwi parnika.

— Co tam?—zapytała ochryple.

— Niic!—wyjąkał Wilhelm.

Oczy nad wąsiskami zamigotały gniewnie.

— Zabieraj tę nogę ze skopka! No! To przecie sanitarna farma. Gdzie ty masz rozum, żeby...

Ale Wilhelm prędko zdjął nogę ze skopka i odszedł. Został towarzystwo w domu przy dwóch długich stołach, zastawionych sielankowymi specjałami, które już gwałtownie atakowano. Panował wielki gwar. Janek Watson zarezerwował obok siebie krzesło dla Wilhelma. Nie czuł się w nastroju do sąsiadowania z żadną „gadatliwą dziewczyną”, to też zabezpieczył się z prawej strony Józiem Bullitem, a z lewej—pustem krzesłem, Wilhelm zajął je; obrzucił okiem najbliższej stojące potrawy i trochę się ożywił.

Zaczął jeść; jadł i jadł; w samej rzeczy dawał koncert, jak również dwaj jego towarzysze. Nie—

żeby miała pierzchnąć melancholją tej trójki — do tego było daleko! Posępni jak noc, „pałaszowali” kurczętą, białe i ciemne mięsa, gęsie pałki, potrawkę z drobiu, z rodzenkami w szarym sosie; smażone wątróbki; „wcinali” kalarepkę, masy kukurydzy, smażonych kartofli, zielonego groszku i szparagowej fasoli; delektowali się brzoskwinio-
wemi i morelowemi konserwami i gruszkami w occie; pochłaniali biszkopty z winogronową galaretką i polykali biszkopty z galaretką z kwaśnych jabłek; „zawijali” marmoladę z jabłek, serek z jabłek i tort jabłkowy; „zmiatali” pikle ogórkowe i marynowane skórki arbuza; zjadali marynowane pomidory, pieprz i cebulę. „Lizali palce” po cytrynowym torcie.

W tym zakresie nie mogli rywalizować z Grzegorzem Crooperem, który był żarłokiem, co się zowie. Miłość nie zmniejszyła jego apetytu, i nawet pełniąca rolę gospodyni Szwedka, Anna, zaniepokoiła się nieco, kiedy przyszło do zaopatrzenia w sos Grzegorza, choć była przecież przyzwyczajona do tego rodzaju dziwów przez tegich parobków folwarcznych. Grzegorz dokonał kompletnych spustoszeń na swoim odcinku i od początku załedwie że znalazł czas na wygłoszenie: „nie wim dlaczego”. Jego uroczą sąsiadka początkowo patrzyła oszołomiona, ale potem zaczął ją ogarniać coraz większy entuzjazm, gdyż zanosilo się na prawdę na wspaniałe przedstawienie. Jęła wyda-

wać cienkie okrzyki zdumienia i podziwu. Z tą muzyką w uszach Grzegorz przechodził samego siebie. Nie mógł się oprzeć pokusie okazania się zdumiewającym, heroicznym komikiem, gdyż takie kaprysy przychodzą czasami na próżnych ludzi przy wiejskim obiedzie.

Grzegorz jadł wciąż, pomimo że zjadł już więcej, niż potrzebował; jadł długo potem, kiedy już wszyscy zrozumieli tajemnicę jego rozmiarów. Jadł ciągle, prosto dla efektu—dla popisu.

Jadł nawet wtedy, kiedy sam już zaczął rozumieć, że zaczyna brawurować, gdyż czuł się tak, jak torreador, tak długo, jak wiedział, że patrzają na niego jej wesołe oczy.

Wkońcu jadł, aby rozstrzygnąć zakłady o jego „żarcie“, chociaż chwilami w ciągu tego ostatniego okresu opuszczała go jowialność, jego spocone czoło chmurzyło się wtedy, i spadało nań zamyślenie.

IV

„MOJE KOCHANECZKI“

Gdy Grzegorz wreszcie skończył, stało się to nagle w jednym z takich wstrzemięźliwych momentów; wyszedł dosyć spokojnie razem z panną Pratt, i oboje przyłączyli się do jednej młodzieńczej grupy, gwarzącej pod drzewami z poobiednią apatycznością. Niebawem wszakże pan Crooper zaczął

przychodzić do siebie w świeżem, ożywczem powietrzu, i zauważywszy, że kilku bardzo dystygowanych dżentelmenów zapala papierosy, roześmiał się lekceważąco. Nie palił od dzieciństwa, kiedy to zobowiązał się wzamian za złoto, że nie będzie palił aż do pełnoletności, i obawiał się, że ci palący młodzieńcy mogą go zacząć lekceważyć. Co gorsza, może to zaimponować pannie Pratt; to też zaśmiał się pogardliwie i powiedział:

— Mam wrażenie, że palą tu gdzieś stare rupiecie. — Pociągnął badawczo nosem. — Ktoś pali stare szmaty. — Poczem, niby się spostrzegłszy, wykrzyknął. — Oh, nie, to tylko papierosy!

Taktowne dziewczę, panna Pratt, naliczyła czterech palaczy w otaczającej ją grupie i tylko jednego abstynenta, Grzegorza, zaraz też stanęła w obronie palących, gdyż zachodzi obawa, że w jej oczach ilość przeważała zawsze nad jakością. — Oh! papierosy ślicznie pachną — rzekła. — Może Wujek Grzesik jest za mały chłopczyk, żeby palić!

Palacze przyjęli z głośnym entuzjazmem cięty dowcip, a pan Grzegorz poczuł, że jego honor jest w niebezpieczeństwie. Mówił za szybko, żeby się zastanowić, czy fakty usprawiedliwiają, czy nie — jego wywody. „Ja? Ja nie kurzę papieru i starych dywanów. Ja palę cygara!

Wywołał pożądane wrażenie, gdyż panna Pratt zaklaskała w ręczki.

— Oh! pysnie! Zapalić cygalo, Wujku Grzesiku!

Zapalić zapalić, pędko! Piesek Flopit i ja chcemy zobaczyć wielkiego, ogłomnego, olbzymiego mężczyznę, palącego wielkie ogłomne, olbzymie cygalko!"

Wilhelm i Janek Watson, którzy krążyli chorobliwie w pobliżu, nie mogąc się oprzeć przyciąganiu magnesu, podeszli jeszcze bliżej, przyczem pan Watson zdążył jeszcze usłyszeć odpowiedź kuzyna.

— Za — zapomniałem cygarnicy.

Wyraz gryzącego sceptycyzmu ukazał się na twarzy Janka. — Co ty pleciesz, Grześ? Czyś nie przyrzekł wujowi Grzegorzowi, że nie będziesz palił, dopóki nie dojdiesz do pełnoletności, i wuj Grzegorz powiedział, że da ci tysiąc dolarów na twoje urodziny, kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat? Co ty pleciesz o cygarnicy?

Grzegorz poczuł się przyciśniętym do muru. Śliczne oczy panny Pratt zwróciły się nań pytająco. Nie mógł się zarumienić, gdyż był już tak czerwony po swoim bohaterskiem przejeździe, że było to już zupełnie niemożliwe. Zrozumiał, że jedyny ratunek dla niego leżał w bezczelnem kłamstwie. — Tysiąc dolarów! — zaśmiał się głośno. — Uważałem to za dużą sumę, kiedym miał dziesięć lat, ale nie teraz. Długo się z tem *nie* bawiłem, możecie mi wierzyć! Stary pocziwiec Grzegorz chciał palić, to i palił! — Wiesz, Janek, jaki ja jestem, kiedy mi się czego zachce. Palę cygara, już sam nie wiem, od jak dawna. — Rozejrzał się po obecnych,

i wróciła mu pewność siebie; było widoczne, że nawet Janek Watson przyjął to kłamie w świadectwie za prawdę, to też w celu spotęgowania prawdopodobieństwa dodał: „Kiedy palę, to palę! Palę cygara jedno po drugim—jedno zapalam od niedopałka drugiego. Żałuję tylko, że ich ze sobą nie mam, bo brak mi ich po jedzeniu. Dużo bym dał, żeby móc teraz co zapalić! Nie mówię—papierosa, nie chcę żadnego papieru—chciałbym czegoś... no, samego tytoniu!

Błada i ponura twarz Wilhelma zaróżowiła się przelotnie. Z bólem przypomniał sobie paczkę „Moich Kochaneczek” z prawdziwego kubańskiego tytoniu (paczka dwadzieścia sztuk za dziesięć centów), która nietknięta spoczywała na jego piersiach, w kieszeni od kurtki. Oczy zapiekły go trochę na myśl, z jakimi uczuciami i nadziejami załatwiał ten sprawunek. Ale pomyślał:—Co zrobiłby „Sydney Carton?”

Wydobył paczkę „Moich Kochaneczek” z prawdziwego kubańskiego tytoniu i złożył ją na szerokiej dloni Grzegorza Croopera. Był to szlachetny postępek, gdyż Wilhelm wierzył, że Grzegorz naprawdę chce palić.

— Proszę—rzekł—proszę pana, czysty tytoń. Ja zamierzam w każdym razie zarzucić palenie. — I myśląc o ich nazwie, dorzucił łagodne słowa, których znaczenie pozostało zagadką dla słuchaczy. — Uważam, że pan je powinien palić, nie ja.

Potem odszedł i usiadł samotnie na płocie.

— Zapalić jednego, zapalić! — krzyknęła panna Pratt. — Każdy musi być cęśliwy i wielki, ogromny, olbzymi mężczyzna nie może być cęśliwy bez swojego cystego tytoniu. Zapalić, zapalić!

Grzegorz westchnął z całej mocy swej diafragmy, dziwnie uciśnionej od czasu obiadu. Poczem zapalił odważnie jedną „Kochaneczkę.” W jego żyłach musiało płynąć trochę dzielnej krwi — gdyż, wydychając dym, pokrył lekką czkawkę głośnym okrzykiem: — *Pysznel* Pirsza klasa. Tego właśnie było mi potrzeba!

Panna Pratt była zachwycona. — Och, cacy, cacy! — wołała, patrząc nań błyszczącymi oczyma. — A teraz puscać wielkie, ogromne, olbzymie kłęby puf, puf! No, puscać wielkie, ogromne, *olbzymie* puf, puf!

I Grzegorz puszczał wielkie, ogromne, olbzymie kłęby dymu.

Oświadczyła, że szalenie lubi patrzeć na palących mężczyzn, i serce Wilhelma, siedzącego zdaleka na płocie rwało się w kawały na widok jej żartobliwych zachwytów. Ale kiedy zobaczył, że trzyma w ręczce niedopalek pierwszej „Kochaneczki”, a Grzegorz zapala od niej drugą, nie wytrzymał. Zeskoczył z płotu i, złamany, powłókł się ponownie do jakiegoś kąta, by nie być widzianym przez nikogo. Była to jego najczarniejsza godzina.

Starannie unikając sąsiedztwa parnika, poszu-

kał małego ogródka owocowego, gdzie widział ją, siedzącą z Grzegorzem, i tam, pogrążony w żalosnych dumaniach, osunął się na tenże sam pień zwalonego drzewa. Trudno powiedzieć, jak długo tam pozostawał, ale wyrwały go z odrętwienia dźwięki muzyki, dochodzącej z trawnika przed domem. Uśmiechnął się gorzko, przypomniawszy sobie, że Wal Banks zamówił Włochów z harfą, skrzypcami i fletem i obiecywał nadzwyczajności z tańca na świeżo skoszonym trawniku—gdyż tego rodzaju posadzka nie stanowi przeszkody dla tańca Siedemnastolatków. Muzyka! Patrzyć na nią, wirującą ze słonecznym uśmiechem w tłustych objęciach tego tańczącego niedźwiedzia! Pozostać w tym pustym ogrodzie; *ona* nie odczuje jego braku.

Ale chociaż nienawidził teraz wesołej muzyki i dźwięków roześmianych głosów, dolatujących z oddali, to przecież nie mógł wytrzymać—i kiedy doszedł do trawnika, na którym tańczono, ujrzał pannę Pratt, kołyszącą się rytmicznie w chudych objęciach Wala Banksa. Zbliżył się Janek Watson i przemówił cicho tonem zjadliwego triumfu.

— W każdym razie tłustemu Grzegorzowi nie dostał się pierwszy taniec z panną Pratt! Ona jest honorowym gościem, i Wal miał do tego prawo za całą swoją pracę. Podeszedł do nich, i tłusty Grzegorz nic na to nie mógł powiedzieć. Wal po prostu mu ją zabrał. Grzegorz nie powiedział ani

słowa; ale przypuszczam, że po tym tańcu znów ją zaanektuje i przez resztę popołudnia nikt się nie będzie mógł do niej zbliżyć. Matka powiedziała mi, że powinienem był go zaprosić, ale licha nadało, że to zrobił; on nie zna najpierwszych zasad zachowania się w obcym mieście.

— Gdzie on się podział? — zapytał obojętnie Wilhelm, gdyż pana Croopera nie było nigdzie widać.

— Nie wiem — odszedł sobie poprostu, nic nie mówiąc. Ale nie bój się, będzie on tu zpowrotem, jak się ten taniec skończy, i znów ją dla siebie zagarnie i — Co się stało Józiowi?

Józio Bullit ukazał się z za węgła domu w pewnej odległości od miejsca, w którym stali. Twarz jego była silnie wzburzona i poruszona; kiwał na nich gwałtownie.

— Chodźcie! Chodźcie! — Posłuchali, a Józio rzekł: — On jest za domem przy jakiejś szopie. Myślę, że coś się stało. Chodźcie, to go wam pokażę.

Ale za domem, dokąd za nim podążyli, pełni dziwnej, nieokreślonej nadziei, kazał im stanąć. — *Patrzcie tam!*

Nie potrzeba było wskazującego palca. Uwagę ich pociągnęły dostatecznie charakterystyczne dźwięki pewnego paroksyzmu — dźwięki, w najwyższym stopniu przejmujące, rozdzierające duszę, żałosne i bezradne. Wilhelm i Janek dostrzegli masywną postać pana Croopera; siedział na ziemi

z plecami, wspartemi ukośnie o ścianę parnika. Ta postawa jednak nie była stała.

Nawprost Grzegorza w małej odeń odległości stała odrapana figura w prostym odzieniu; oparta na gracy, i przyglądała mu się z chłodnem zainteresowaniem. Zakończenie tej figury stanowił słomkowy kapelusz w kształcie wulkanu, trójkątny z profilu i ukoronowany kraterem, z którego sterczały czerwone wiechcie. Pod kapeluszem widniało kilka rysów, ale przeważały nad nimi wasy, jakby wprost osadzone na długiej, czerwonej, pomarszczonej, godnej szyi. Z wąsisków wydobył się chropawy głos, zwracając się do Grzegorza.

— Widziałem cię! — rzekł. — Widziałem, jakieś żarł. To przecież sanitarna farma, i powinieneś być o tem wiedzieć. Wynos się stąd, ty, psie, a pójdziesz!

Grzegorz usłuchał; trzej widzowie, trzymając się zdaleka, obserwowali go z przejęciem. Poczuli, że powraca im stracona wiara w Opatrzność, twarze rozjaśniały się zwolna radością życia. Wiodoczne było, że przez tę krótką chwilę, kiedy tam stali, świat stawał się w ich oczach coraz piękniejszy i lepszy. I Wilhelm zrozumiał, że wszystko zważywszy, jego „Kochaneczki” były natchnionym nabytkiem. Były ostatniem uderzeniem, wymierzonom chwającemu się gmachowi. Czyny Grzegorza przy obiedzie podminowały go, ale „Kochaneczki” dokonały reszty — i teraz wśród ruin działały się straszne rzeczy przy ironicznym

akompaniamencie muzyki z dziedzińca, gdzie tańczono w słonecznych blaskach!

Nagle akompaniament ustał. Janek Watson skoczył, chwycił za rękawy towarzyszy i z oczyma, gorejącemi ciepłem, braterskiem światłem, zagadał gorąco.—Hej!—krzyknął.—Lepiej lećmy zpowrotem—wygląda tak, jakby to miało trwać całe popołudnie. Józik, prosz ją do następnego tańca, a jak muzyka będzie przestawała grać, to dotanecz z nią do tego miejsca, gdzie będzie stał Bill, tak, żeby Bill mógł ją odrazu wziąć do tańca. Potem Bill, zrobisz to samo dla mnie, a ja to znów zrobię dla Józia, a potem Józio robi to znowu dla Billa, a potem Bill dla mnie i tak wkoło. Jeżeli teraz pójdziemy odrazu i weźmiemy się do rzeczy, to nie dopuścimy do niej nikogo innego, i przez cały dzień nikt z nią nie będzie tańczył, tylko my! Chodźcie prędko.

Zjednoczeni we wspólnem dążeniu trzech młodzieńcy po ędzili lekko na trawnik—salon, i panu Billitowi udało się po małym sporze zdobyć następny taniec ze ślicznym, honorowym gościem.—Przyrzekłam grubemu Wujkowi Giesikowi—rzekła, rozglądając się naokoło.

— Myślę, że on pewno nie przyjdzie — rzekł Józio.—To jest, jestem prawie pewny, że nie przyjdzie.

Cień padł na uroczą twarzyczkę.—Be, Klusek

Józwa Józiki! Mężczyźni *zawse* mają, kiedy Lola psyzeka tańce. Nie można być brutalnym.

— Dobrze — zaczął Józio, ale przerwała mu Szwedka, która ukazała się na schodach, wiodących do domu. Oni z całego rozbawionego grona znajdowali się najbliżej wejścia.

— Ten gruba chłopiec — rzekła Anna — ten, co tak dużo jadła — jest w sypialni. On krzyczy, krzyczy! On myśli, że jemu trzeba ratować.

— Czy chce doktora? — zapytał Józio.

— Doktor? Nie. On chce, żeby go przewieźć do szpitala!

— Pójdę do niego — ofiarował się Janek Watson i pobiegł do domu. — To mój kuzyn, więc powinienem wziąć na siebie odpowiedzialność.

Panna Pratt posłała w kierunku domu jedno słabo współczujące spojrzenie pod adresem chorego. — No cóż — rzekła — jeżeli ludzie wolą się przejadać niż tańczyć! Pomyślała: „tańczyć ze *mną!*”, ale uważała, że będzie wzięczniej, jeżeli tego nie powie. — Proszę, Klusek Józwa Józiki! — zawołała radośnie.

W chwilkę później, gdy stała z rozpromienionym i rozkrochmalonym Wilhelmem, szykując się do następnego tańca, podszedł do niej Janek Watson i wręczył jej pierścioneł, otrzymując wzajemną drużę. — Uważałem, że lepiej go *zabrać* — rzekł bez żadnych dodatkowych objaśnień. — Przechowam jego pierścioneł, dopóki nie wrócimy do domu.

Nic mu nie jest — dodał i, zauważywszy, że na wrażliwym czole Wilhelma ukazał się cień zaniepokojenia, ciągnął uspokajająco. — Nic mu nie jest w porównaniu z tem, co mogło być: to jest po tych jego *popisach*! Zawsze był uważany za najgłupszego ze wszystkich naszych krewnych — nigdy nie wiedział, jak ma postępować. Nie chcę przez to powiedzieć, że ściśle biorąc, brak mu piątej kleпки, albo że powinien być pod dozorem, czy coś w tym rodzaju — i naturalnie on należy do strasznie dobrej rodziny — ale jest właśnie czarną owcą, jeżeli idzie o inteligencję czy coś w tym rodzaju. Otoczyłem go wszelkimi wygodami, daję mu tam gorącą wodę, i musztardę, i lekarstwa, ale najwięcej mu teraz potrzebny spokój. Bardzo mu dobrze robi — zakończył wesołym głosem Janek — jak przeleży przez resztę popołudnia i uspokoi się i przyjdzie do siebie.

— Czy nie myślisz, że jest jaka... — zaczął Wilhelm i po chwili ciągnął dalej — jaka nadzieja... że poczuje się na tyle dobrze, żeby wstać i tańczyć?

Janek potrząsnął głową.

— Najmniej! — rzekł stanowczo. — Najlepszą przysługą, jaką możemy mu wyświadczyć, będzie pozostawienie go zupełnie samego aż do po-kolacji, a potem poprosić, żeby nikt nie siadał na tylnem siedzeniu wozu, jak będziemy wracali, tak, żeby mu tam było wygodnie i żeby się mógł rozciągnąć.

Wesoło zadźwięczała harfa, zaśpiewał flet i skrzypce! Na murawie Wilhelm lekko unosił swoją damę, nad szczęśliwymi zaś tanecznikami promieniało pogodne niebo. Palce Wilhelma dotykały delikatnych paluszków; uroczą twarzyczka uśmiechała się doń różowo; w jego rozplomienionych uszach tętniła rytmicznie niewysłowiona słodycz; jego stopy wirowały do taktu z jej nóżkami. Tańczyli, i tańczyli, i tańczyli!

Potem tańczył z nią Józio, podczas gdy Wilhelm i Janek stali, każdy z rękami, opartymi na ramionach drugiego, i patrzyli, może z tęsknotą, ale bez urazy; potem tańczył z nią Janek, a Józio i Wilhelm patrzyli — a potem znowu tańczył z nią Wilhelm.

Tak przeszło długie, niewysłowione popołudnie — ach, wiosno życia!

— Jakże się pan bawił na wycieczce? — zapytał tego wieczora subjekt z narożnej trafki.

— Klasał — rzekł Wilhelm, zdejmując płaszcz z haczyka, na którym go pozostawił.

— A jak panu smakowały „Kochaneczki” — co to panu sprzedałem?

— *Klasał* — rzekł Wilhelm.

V

PRZEWIDYWANIA

Rozkwitła ostatnia róża; wiatr rozwiął oddawna kulki brodawników, królowały gladjolusy, szalwie

i złocienie; zbliżał się sezon astrów i chryzantem. Promienne lato ociąga o się jeszcze, choć jednocześnie gnało pośpiesznie ku jeseni niby apatyczna dama w elewatorze.

Przyszła niedziela — bardzo gorąca.

Państwo Baxter powrócili pieszo z odległego o kilometr kościoła. Upał był niemożliwy, to też upadli zaraz na płecione krzesła, stojące na frontowej werandzie. Zato towarzysząca im Janeczka natychmiast gdzieś pobiegła, kołysząc na wstążce kapelusik i skacząc tak lekko, jakby tylko co wybiegła z domu o chłodnym poranku.

— Nie wiem, jak ona to robi — stęknął ojciec, spoglądając za nią i wycierając czoło chustką. — Mnieby to zabiło po spacerze na takiej spiekocie.

Potem przez parę chwil siedzieli oboje w milczeniu, radzi, że odpoczywają, kłaniając się od czasu do czasu idącym z kościoła znajomym. Pan Baxter wachlował się w momentach sporadycznych „małych wybuchów energii”, tak, że aż trzeszczał jego słomkowy kapelusz, a pani Baxter wdychała z gorąca i kołysała się lekko w fotelu.

Ale gdy po drugiej stronie ulicy ukazała się grupa młodzieży, złożona z pięciu osób, pan Baxter przestał się nagle wachlować, a pani Baxter, poszedłszy za kierunkiem jego wzroku, przestała się kołysać. W niezdecydowanych postawach pochylili się lekko naprzód we wspólnem milczącym

wrażeniu, jakiego doznają rodzice, ujrzawszy niespodziewanie swoją latorośl.

— Na Boga! — rzekł ojciec Wilhelma. — To ta dziewczyna *jeszcze* nie odjechała?

— Uważam, że wygląda blado — zamruczała z roztargnieniem pani Baxter. — W ostatnich czasach porządnie zmizerniał.

W ciągu siedemnastu lat pan Baxter nauczył się stopniowo nie protestować przeciwko tego rodzaju troskom, chyba, żeby mu się zachciało trochę z nią podyskutować bez żadnych widoków na dowiedzenie swego zdania.

— Czyż ona nie ma żadnego *domu*? — zapytał z irytacją. — Czyż ona nigdy nie opuści Parcherów i nie da ludziom chwili wytchnienia?

Pani Baxter zignorowała ten wybuch, tak, jak on zignorował jej uwagę o bladości Wilhelma.

— Mówisz o pannie Pratt? — zagadnęła sennym głosem, idąc oczami za oddalającym się synem. — Nie, on naprawdę nie wygląda dobrze.

— Czy ona ma siedzieć u Parcherów przez całe lato? — nalegał pan Baxter.

— Już prawie że siedziała — rzekła pani Baxter.

— Spójrz na tego chłopaka! — sarknął ojciec. — Wlecze się razem z tantymi bałwanami — nawet nie puszczają jej samej do kościoła! Ciekaw jestem, ile tygodni uzbierałoby się z tych godzin, które on w ten sposób tego lata zmarnował?

— Oh! nie wiem! Wiesz przecież, że on tam nie chodzi wcale wieczorami.

— To cóż z tego? Siedzi tam przez cały dzień czy nie? O czymże oni mogą tak wciąż gadać? To już dla mnie tajemnica! Dzień po dniu; godzinami i godzinami. Na Boga! O czymże oni *gadają*?

Pani Baxter roześmiała się pobłażliwie. Ludzie zawsze się dziwią nieswojemu wiekowi.

— Biedny Wilek! Myślę, że przeważnie ich rozmowa nie ma prawdopodobnie wiele sensu. Wiesz, że Wilek i Józio Bullit idą po obu stronach panny Pratt, a Janek Watson musi iść z tyłu z Marysią Parcher. Józio i Janek przebywają z nią tak prawie dużo, jak Wilek, i naturalnie i na niego przychodzi często kolej asystowania Marysi Parcher. Niema wiele okazji do przebywania tête-à-tête z panną Pratt.

— Ona już powinna jechać do domu. Chciałbym, żeby ten chłopak powrócił do rozumu. On jest w okropnym stanie.

— Myślę, że już niedługo odjedzie—rzekła pani Baxter. — Parcherowie mają urządzić dla niej tańce w piątek wieczorem. Wiem, że mają położyć na podwórzu posadzkę i różne nadzwyczajności. To ma być zabawa pożegnalna.

— Dzięki Bogu i za to!

— A jeżeli się dziwisz, o czym oni mówią—podjęła na nowo—to... pewnie o zabawie. A kiedy Wilek *jest* z nią sam—no, cóż każdy mówi?—Pani Baxter przerwała sobie śmiechem.—Janeczka, na-

przykład—ona jest zawsze oczarowana tym czarnym Genezisem, gdy on tu u nas pracuje, i prowadzi długie, długie rozmowy; widziałam ich z okna nieraz. Jak przypuszczasz, o czym oni mogą rozmawiać? Ona tam teraz jest u niego. Wiedziała, że powiedziałam Genezisowi, że mu coś dam, jeżeli przyjdzie dzisiaj i ukręci lody. Kiedyśmy przyszli, usłyszała maszynkę i zaraz tam pobiegła. Gdybyś wyrzał na tamtą werandę, usłyszałbyś, jak gawędzą —ale nigdybym nie zgadła, o czym, choćby chodziło o życie!

A jednak trudno było o coś prostszego; w samej rzeczy Janeczka i Genezis (w towarzystwie Kematisa) rozmawiali o kwestiach towarzyskich. Nie była to rozprawa socjologiczna, raczej lekka rozmowa o przepisach elegancji i dobrego tonu. W ich umysłach Watteau przeważał nad Johnem Stuartem Millem, słowem—rozmawiali o *beau-mon-dzie*.

Genezis obracał lewą ręką rękojeść maszynki, a prawą gestykułował swobodnie, co niekiedy było dlań koniecznością konwersacyjną. W kwestji ubrania Genezis zawsze należał do największych indywidualistów swej rasy, ale dzisiaj zaśła w nim zmiana prawie nie do zniesienia dla aryjskiego oka. Miał na sobie bombiasty purpurowy garnitur, dziwnie powycinany przy kieszeniach i mankietach i jeszcze dziwniej przybrany rzędami małych pasorzytniczych guziczków, najwidoczniej guzicz-

ków od parady. Jego pękate nowe buty odrzucały żółty płomienny blask zpowrotem na zakłopotane słońce, a kołnierzyk (gdyż tak daleko się posunął) rzucał inne iskry, migające na wypolerowanej powierzchni skóry koloru sadzy. Pod nim wisiał prosty, biały, brudny wieczorowy krawat, udrapowany w sposób, niezamierzony przez fabrykanta, i ciężko obciążony skutkiem wpięcia weń zielonego szklanego medaljonu, oprawionego w mosiądz, wyobrażającego Cezara Tyberjusza.

— A jakże! — mówił Genezis. — Ja być teraz u ten Swim — latać dokoła każda noc koło tych restokraty — Ja powiedzieć: „Musieć kupić taka restokracyjna ubranie! I jeżeli ja mieć zrobić *początek*, to *wysoko!* Tak ja nasamprzód kupić złota szpilka do krawat z ona pani - twarz, wycięta na zielony diament, co to siedzieć na środek to złoto. Potem ja kupić para królewska, cesarska buty. Ja mieć moja przyjaciel Blooie Bowers; on powiedzieć, co ta królewska, cesarska buty, ta sama gatunek *on* nosić. Tak ja prosto do sklep, gdzie oni ich trzymać. „Szkoda czas pokazać mi staroświecka buty”, ja powiadać. „Dać mi oni wielga, żółciuska z czubami królewska cesarska przed moja oczy. Pierwsza para, jak ułać, ja płacić pieniądz i odrazu ony na nogi! A potem ja kupić mi ta ubranie — *oh! oh!* Z okno na mnie patrzeć: „Chcieć być najlepiej ubrana elegant — klasa na cała miasto, weź mnie do dom, za sześć dolary dziewięćdziesiąt sie-

dem cent. Taka ubranie Genezis potrzebować jak raz." Ja powiadać: „Jak potrzebować Genezis modna ubrać od początek, to niech zaraz od góra brać!"

Janeczka skinęła poważnie główką, gdyż rozumiała racjonalność tego poglądu.

— Co Genezisa do tego skłoniło?—zapytała z powagą. — Chcę powiedzieć, jak to się stało, że Genezis wszedł na tę drogę?

— To ja, panienska, tak ześlizgnąć, jakby powiedzieć, na ta droga, zamiast coby skoczyć abo przeskoczyć. Ja wieczór być u ta pani Fanny, co to tamten rok być za kucharka, tu zaraz blisko pierwszy dom od dom panienska tatulo. To ta pani Fanny, ona już nie być prywatna kucharka, tylko kajtlis.

— Czem ona jest?—zapytała Janeczka.—Co to znaczy, Genezis—kajtlis?

— Ona być „kajtlis" — wyjaśnił. — Jak to być mężczyzna, to on być „kajter" a jak dama, to ona się nazywać „kajtlis". Ona robić „kajtli" dla wszystka restokracyjna familje w miasto. Ona robić zakąski, posiłki, ona najmować kelnery—to jest „kajtli". Panienska mama dawać wielka obiad, ona mieć Fanny „kajtlis" i sama nie mieć żadna kłopot. Fanny brać wszystka kłopot.

— Rozumiem—rzekła Janeczka.—Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego jedno z drugim, że ona jest „kajtlis" i że Genezis tak się elegancko ubrał?

— To być tak. Fanny powiedzieć:— „Słuchaj, ty, Genezis, ja mieć jutro wieczór wielka robota i ja nie mieć jedna człowiek, a ja musieć mieć anonser”.

— Co takiego?

— To Fanny tak mówić. Ma być wielka obiad i ta restokracyjna familja powiedzieć do Fanny, co ona chcieć wielki ekstra-parada; ona powiedzieć, coby ona postawić piękna fajn człowiek przy drzwi do sala—coby on pytać nazwisko każda i na cała gardło to zawołać, jak raz, jak oni wchodzić. Ta familja powiedzieć, co ona pokazać, co jest to, a co jest to, temu miasto i ona kazać Fanny najać anonser.— „Tak co ty robić, jak anonsować?” — Fanny powiedzieć.— „Kto ja?” — ja też powiedzieć.— „Tak, a jakże, ty!” — ona mówić. I ona powiedzieć, co mnie pożyczyć ta garnitur od kelner, co należeć do stary Henryk Gamlet, co to umrzeć, jak być winna Fanny szesnaście dolary—tak Fanny zabrać i trzymać ta garnitur. Ona jego dawać dla extra kelner, jak ona mieć taką, co mieć swoja garnitur. — „Ty jego włożyć — Fanny powiadać — i ty być dobra anonser, bo ty wielka fajn człowiek i ty mieć duża, gruby głos; tylko patrzeć, jak ty się nauczyć być kelner, Genezis; takby zarobić każdy wieczór jedna dolar i pół, oprócz to wszystka, co ty zarobić, jak ty kosić w dzień trawa”. — Tak, panienska, ja stać i anonsować na jutro noc. Biała dama

i dżentelman do mnie iść, a ja do nich podejść, o tak—ja do nich podejść, tak, o tak.

Tu Genezisowi przyszła ochota przedstawienia tej sceny z pewną starannością. Puścił rączkę maszynki, wstał, przybrał wspaniały, lecz usłużny wyraz i podszedł do imaginacyjnej pary—rytmicznym i posuwistym krokiem—staroświeckiem *pas*, wskazującym wyraźnie na jednoczesną czynność orkiestry. Potem zgiął się uprzejmie, tak, jakby osoby, do których się zwracał, były karzełkami.

— Proszę mi darować — rzekł—ale może państwo z łaski swojej mnie powiedzieć swoje nazwisko?—Przez chwilę słuchał uważnie, poczem skinął głową i, wróciwszy tem samem, arystokratycznym, kołyszącym *pas* do imaginacyjnych drzwi, koło maszynki, oznajmił donośnie: — Pan i pani Orlosko Rinktum!

— *Kto?*—krzyknęła oczarowana Janeczka.—Genezis, anonsujcie jeszcze raz, no!

Genezis przystał na to ochoczo.

— Pan i pani Orlosko Rinktum!—wrzasnął.

— Czy to było naprawdę ich nazwisko?—zapytała skwapliwie.

— Ja trochę zapomnieć—przyznał Genezis, zacierając się znów do kręcenia maszynki. — Wdzi mi się, co ja przypominać sobie, *ktoś* mieć taki prawie nazwisko, jak ja mówić, bo tam być taka wielka restokracyjna nazwisko na ten obiad! Ale ja tylko być raz anonser, bo mi Fanny powiadać,

bo druga familja robić taka obiad i drwić a drwić. Powiedzieć ja *dobrze* anonsować, ale powiedzieć, po jaka lichy wykrzykać nazwiska sąsiadów abo ich własna ciotki i wuję, jak oni wchodzić, kiedy każda ich już znać? Tak Fanny przybrać mnie na kelner i ja, jak raz, między państwo robota każda noc. Podawać lody, lemonjada, torty, ciasto, sandwicz. — „Może łaskawa pani trochę kurczęta abo sałata”. — „Pan łaskawy pozwolić świeża filiżanki kawa” — tak Genezis mówić, w te czasy, każdy wieczór!

Janeczka spojrzała nań w zamyśleniu.

— Czy Genezis to woli jak koszenie trawy? — zapytała.

Zastanowił się chwilkę.

— Tak—jak kapela grać taka *tony*! Mój ty Boże! to pięknie!

— Ale dzisiaj Genezis nie może przecież tego robić—rzekła Janeczka. — W wieczory niedzielne musicie cicho być, nieprawda?

— Tak. Niema więcej „kajtli” jak dopiero aż na piątek wieczór.

— Och! założę się, że to przyjęcie dla panny Pratt u Pacherów!—krzyknęła Janeczka. — A co, czy dobrze zgadłam?

— A jakże. Ja pewnie widzieć kogoś z panienki familja w ta noc! jak on tańczyć—usługiwać jemu przy jedzeniu!

Wyraz twarzy Janeczki stał się jeszcze bardziej serjo, niż zazwyczaj.

— Wiluś? Genezis, ja nie wiem, czy on tam pójdzie.

— O, niebo! — wykrzyknął Genezis. — On umrzeć, jak jego nie zaprosić na ten ball

— Och, on jest zaproszony — rzekła Janeczka. — Tylko ja myślę, może być, on nie pójdzie.

— Dobra Pan Bóg! Czemu on nie iść?

Zanim odpowiedziała, Janeczka popatrzyła uważnie na przyjaciela.

— To sekret — rzekła wkońcu — ale bardzo, bardzo ciekawy, i ja go powiem, jeżeli Genezis zatrzyma go przy sobie.

— Ja nikt nie powiedzieć.

Janeczka rozejrzała się wokoło, poczem, podszedłszy bliżej, opowiedziała sekret z namaszczeniem, na jakie zasługiwał.

— To tak było. Kiedy panna Pratt na samym początku przyjechała z wizytą do panny Marysi Parcher, Wiluś schował tatusia frak w swoim fotelu, a mamusia dziwiła się, co się z nim stało. Potem po obiedzie on się wymykał na górę i kładł go i wychodził przez kuchnię i szedł do panny Pratt. Potem mamusia znalazła go i pomyślała, że on nie powinien tego robić, więc mu nic nie powiedziała ani nic nie zrobiła i nawet nie powiedziała tatusiowi, ale kazała go krawcowi poszerzyć,

bo już dla tatusia robił się za ciasny. No, więc potem, nawet gdyby Wiluś mógłby go wyciągnąć z mamusi garderoby, gdzie go teraz mamusia chowa, toby nie mógł się w niego ubrać, takby śmiesznie wyglądał. Więc od tego czasu on już nie mógł chodzić wieczorami z wizytą do panny Pratt, bo mamusia powiada, że jak on już zaczął chodzić w tem ubraniu, to teraz bez niego nie może, albo może być panna Pratt, albo tamci, co się do niej zalecają, pomyśleliby, że to dziwne, i przypuszczaliby, że to przez cały czas było tatusia. Mamusia powiada, że myśli, iż Wiluś musiał się dobrze natrapić, co powiedzieć, że on potem tylko w dzień przychodził, a nigdy wieczorem, a teraz ma być to przyjęcie, i mamusia powiada, że on każdego dnia robi się bledszy i bledszy od czasu, jak się o tem dowiedział. Mamusia mówi, że on jest *trochę* blady, bo panna Pratt odjeżdża, ale myśli, że jest jeszcze więcej blady dlatego... no, jeżeli on nosił ten frak poprostu na *wizytę*, jakby to było, żeby on poszedł na *przyjęcie* i nie miał wcale! Tak mamusia myśli — i Genezis obiecał, że nie powie nikomu, tak długo, jak będzie żył!

— Gdzie tam. Nie powiem! — zarechotał Genezis. — Ja sobie prędko sprawić nowa kelnerski frak, ja sam, tak ja już nie będę nosić ta stara po Henryk Gamlet, co to być Fanny, i mieć ja wtedy moja własny frak. Tam w aleja być sklep ze starzyzna, gdzie ony mieć piękna fraki od siedem dolary

do dziewiętnaście dolary i dziewięćdziesiąt osiem cent. Ja być...

Janeczka drgnęła i przerwała Genezisowi.

— Sz—szepnęła, kładąc ostrzegawczo palec na ustach.

Wilhelm wszedł bramą od podwórza, przeszedł przez trawnik i znalazł się u stopni werandy, zanim go Janeczka zdążyła zauważyć. Rzuciła nań trwożne spojrzenie, ale on wszedł z roztargnieniem do domu, nawet nie wzdrygnął się na widok Klematisa—pani Baxter miała rację—Wilhelm wyglądał blado.

— Zdaje się, że nas nie usłyszał — rzekła Janeczka, gdy zniknął we wnętrzu mieszkania. — On się strasznie śmiesznie zachowywał — dodała w zadumie. — Najpierw, jak on się zakochał w pannie Pratt, to jak był w domu, to prawie co minutę o coś się wściekał. Nikt mu nie mógł *nic* powiedzieć, bo tak odrazu się zachowywał, jakby to było straszne, a jak się na niego spojrzało, jak szedł na spacer z panną Pratt, to on patrzył jak... jak... — Janeczka urwała; wzrok jej padł na Klematisa i przyszło szczęśliwe natchnienie, tak, że mogła dokończyć swego porównania z uderzającą trafnością. — To on patrzył tak, jak Klematis patrzy na ludził Genezis, on *zupełnie* tak patrzył, jak szedł z panną Pratt, a potem, jak przyszedł do domu, to taki się robił spokojny, że nie mógł odpowiadać na pytania i nie chciał słyszeć, co kto do niego

mówił przy stole albo gdzie indziej, i tatuś prawie, o mało nie pękl. Mamusia i tatuś rozmawiali o tem i rozmawiali i... — zniżyła głos—i ja wiem, co oni rozmawiali. Więc on potem już się prawie nie wściekał; on tylko sobie siedział w swoim pokoju, a czasem to nawet siedział pociemku, albo on siedział na podwórzu sam cały wieczór, może być; a jednego wieczoru, kiedy już byłam w łóżku, usłyszałam ich, tatuś powiedział—więc tatuś tak mamusi powiedział. — I znowu, zniżywszy głos, przytoczyła nieco trwożnym tonem słowa ojca. — Tatuś powiedział, do diabła! gdyby był wiedział, że jego syn robi z siebie takiego pies! durnia, toby prawie wolał, żebyśmy oboje byli dziewczynami.

Skończywszy to sprawozdanie gwałtownym szepcetem, Janeczka dla większej dobitności skinęła kilkakrotnie głową; Genesis potrząsnął swoją, by dać do zrozumienia, że zrobiło to na nim tak głębokie wrażenie, jak sobie życzyła.

— Przypuszczam — dodała po chwili — przypuszczam, że Wiluś nic nie usłyszał z tego, cośmy o nim mówili, albo o ubraniu, albo o czem tam.

Myślała się częściowo. Wilhelm nic nie usłyszał o sobie, ale coś jednak usłyszał. Siedział teraz samotnie w swoim pokoju i myślał o tem prawie gorączkowo: „Tam w aleja być sklep ze starzyzna, gdzie ony mieć piękna fraki od siedem dolary do dziewiętnaście dolary dziewięćdziesiąt osiem cent.”

Cywilizacja jest odpowiedzialna za pewne

pragnienia i tęsknoty, tkwiące w piersi człowieka— sztuczne zaprawdę, ale czasami tak ostre, jak głód i pragnienie. Najsilniejsze z nich to tęsknota dziewczyny do ślubnego welonu, chłopca do długich spodni i młodzieńca do paradnego garnituru z wyciętymi połami. Mało z wczesnych radości życia da się porównać z zaspokojeniem tego pragnienia. Zepsuci młodzieńcy, zbyt bogaci, nie mogą poznać w całej uroczystej pełni ani tęsknoty, ani jej zaspokojenia; ale taki młody osobnik, jak Wilhelm, „średnio zamożny”, ma przywilej łaknięcia pierwszego wieczorowego ubrania, tak, jak jeleni łaknie wody z potoku—czasami napróżno. Nadto w życiu Wilhelma był to kryzys: w dodatku do przejmującego pragnienia posiadania tego stroju dręczyła go konieczność zdobycia go jak najprędzej.

Jak już zawczasu zrozumiała Janeczka, sytuacja była taka, że w razie niemożności zdobycia odpowiednich szat, nie będzie mogło być mowy o pójściu na pożegnalny balik dla panny Pratt. Inni niewyekwipowani chłopcy mogli iść w zwyczajnych „najlepszych ubraniach”, ale Wilhelm nie mógł; gdyż niestety! na samym początku za bardzo się wystroił!

Położenie było rozpaczliwe.

Smutek z powodu zbliżającego się wielkiego odjazdu był tem cięższy, że go tak odwlekano. Zdawało się Wilhelmowi, że to rozkwiecione lato nie mogło się istotnie skończyć, tak samo, jak on nie

mógł naprawdę umrzeć, ale Czas zaczął straszliwą lekcję, i nawet Siedemnaście Wiosen musiało jej wysłuchać.

Magiczna dziewczeczka, panna Pratt, miała wracać do domu.

VI

OJCOWIE ZAPOMINAJĄ

Dla kompetentnej młodzieży powyżej lat dwudziestu setki mil nie stanowią niemożliwych przeszkód, i takie wyjazdy mogą być rozdzierające, ale nie tragiczne. Dla Lat Siedemnastu los jest nieubłagany! Panna Pratt odjeżdżała, a on nie mógł za nią podążyć, mógł tylko desperować na pustem wybrzeżu, odszukując na piasku odciski anielskich stópek.

Dla Siedemnastu Wiosen taki wyjazd jest rzeczą ostateczną, jest zniknięciem.

I teraz wydawało się możliwem, że Wilhelm mógł być nawet pozbawiony ostatnich romantycznych pociech, „ostatniego walca,” ostatniego, ach! ostatniego „przysłuchiwania się razem muzyce przy świetle księżyca;” tych wszystkich świętych „ostateczności”, „ostatniego wspólnego wieczoru.”

Błagał gorąco o „frak” tytułem odpowiedniego uczczenia siedemnastej rocznicy swoich urodzin, ale spotkał się w odpowiedzi z ojcowską odmową, zaprawną żartobliwością, bardziej przygnębiającą,

niż surowość. Od wtedy—w szczególności od przyjazdu panny Pratt — usposobienie pana Baxtera stawało się coraz równiejsze. To jest z punktu widzenia towarzyskich poczynąń Wilhelma było ono jednolicie złe. Jednakże po ciężkich medytacjach Wilhelm postanowił uciec się do ostatecznego kroku, usprawiedliwionego rozpaczliwą koniecznością.

Pragnął wyzyskać wszelkie ewentualności celem zrobienia efektu; to też nie działał pośpiesznie, ale przemyśliwszy to, co zamierzał powiedzieć, przerobił to jeszcze z dodatkiem paru odpowiednich gestów, co sprawiło mu nawet pewną przyjemność ze względu na pełen godności patos tego popisu. Przekonał się o tem z ukradkowych spojrzeń w lustro. Pomimo tych małych dygresyj jego zmartwienie było wielkie i aż za realne, gdyż na nieszczęście uprzednie przerobienie wzruszającej sceny nie dowodzi, że wzruszenie nie jest szczere.

Zeszedłszy nadół, zastał jeszcze rodziców, siedzących na frontowej werandzie. Stał przed nimi uroczyście, zakasłał dla kontenansu i zaczął mówić:

— Ojcie — rzekł bardzo głośno — przyszedłem, żeby...

— Jezus Marja! — wykrzyknęła pani Baxter, nie zauważywszy, że przerywa zamierzoną przemowę.

— Wiluś, jakiś ty blady! Usiądź, biedne dziecko! nie powinienes tak dużo chodzić po tym upale.

— Ojcie — powtórzył Wilhelm. — Oj...

— Przypuszczam, żeś ją bezpiecznie odtransportował z kościoła do domu — rzekł pan Baxter. — Mogłaby przecież zostać porwana przez jakich włóczęgów, jeżeliby was trzech tam nie było, żeby ją w razie czego obronić!

Ale Wilhelm trwał bohatersko przy swoim.

— Ojcie... — rzekł. — Ojcie, przyszedłem, żeby...

— Co się z tobą, u licha, dzieje?

Pan Baxter przestał się wachlować; pani Baxter przestała się kołysać, i oboje otworzyli szeroko oczy, gdyż zorientowali się, że zanosi się na coś niezwykłego.

Wilhelm cofnął się do punktu wyjścia i spróbował na nowo:

— Ojcie, przyszedłem, żeby... — Urwał i przełknął, spodziewając się widocznie, że mu przerwą, ale oboje rodzice milczeli, patrząc nań pełnym zdumienia wzrokiem. — Ojcie... — zaczął jeszcze raz. — Przyszedłem — przyszedłem, żeby... żeby ojcu coś powiedzieć, co, jak myślę, jest ojca obowiązkiem. Namysliłem się nad tym krokiem, zanim zwróciłem się do ojca.

— Na Bogal — rzekł półgłosem pan Baxter. — Na Bogal

— W moim wieku — ciągnął Wilhelm, przetykając ślinę, z poważnym wzrokiem, utkwionym w da-

chu werandy celem uniknięcia zbijającego z tropu ojcowskiego spojrzenia—w moim wieku są rzeczy, które się powinno zrobić, i są rzeczy, których się nie powinno robić. Jeżeli by mnie ojciec zapytał, co, jak uważam, *powinno* być zrobione, to na to jest tylko jedna odpowiedź: Kiedy ktoś w takim wieku, jak ja, musi znaleźć się między innymi młodymi ludźmi w moim wieku, którzy już go mają, jak bądź co bądź, połowa z nich *ma*, z którymi ja chodzę i ich ojcowie już przedsięwzięli taki krok, dlatego, że czuli, że była to jedyna właściwa rzecz do zrobienia. Dlatego, że w moim wieku i w wieku młodych ludzi, z którymi ja chodzę, *jest* to jedyna sprawiedliwa rzecz do zrobienia, dlatego, że to jest coś, nikt nie mógłby zaprzeczyć w moim wieku...

Tu Wilhelm odetchnął głęboko i, poniechawszy tego zdania, jako beznadziejnie splątanego, zaczął drugie.

— Przemyślałem ten krok, dlatego, że na każdego młodego człowieka przychodzi czas, kiedy musi przedstawić ojcu ten krok, zanim się coś zdarzy, czego by żalowali. Zastanowiłem się nad tem przedsięwzięciem i jestem pewny, że uczciwym obowiązkiem ojca byłoby...

— Na Boga! — rzekł, chwytając powietrze, pan Baxter.— Sądziłem, że cię dobrze znam, a tymczasem przemawiasz do *mnie* jak ktoś obcy! Co to wszystko znaczy? Czego ty *chcesz*?

— Fraka! — rzekł Wilhelm.

Przed dojściem do tego punktu zamierzał powiedzieć dużo więcej, ale chociaż skutkiem zderzenia zgiął kilka wątków ze swojej przestudowanej petycji, to przecież zdawało mu się, że dobrze mu idzie i że przedstawia swoją sprawę z siłą i dystynkcją. To też zdziwił się i uczuł się dotkniętym, usłyszawszy nieartykułowany okrzyk ojca, w którym brzmiał ton szyderstwa i zdumienia.

— Mam więcej do powiedzenia...— zaczął Wilhelm. Ale pan Baxter przerwał synowi:

— Frak!—zawołał.—No, rad jestem, żeś wogóle o *czemś* mówił, bo szczerze byłem przekonany, żeś dostał porażenia słońca!

Na to zakłopotany Wilhelm zdjął oczy z dachu werandy i zapomniał o tem, co sobie ułożył. Podniósł błagalnie rękę.

— Ojcze — rzekł — ja go *muszę* mieć!

— Musi! — Pan Baxter roześmiał się śmiechem, który przejął mroźnym dreszczem biednego suplikanta.—W twoim wieku uważałem się za szczęśliwego, jeżeli *wogóle* miałem jakieś ubranie, w którym się mogłem pokazać. Za młody jesteś, Wilusiu. Nie chcę, żebyś sobie zaprzętał głowę bzdurstwami, i jeżeli to tylko ode mnie będzie zależało, to dostaniesz frak dopiero za cztery lata.

— Ojcze, ja go *muszę* mieć. *Muszę* mieć i to odrazu!—Błagający głos Wilhelma zrobił się prawie łzawy.—Nie proszę, żeby go ojciec kazał robić albo żeby go zamawiał u drogich krawców, ale przecież

jest dużo dobrych gotowych, co kosztują tylko około czterdziestu dolarów; ogłaszają w pismach. Ojcie, czyżby ojciec nie zechciał wydać tych czterdziestu dolarów? Ja je zwrócę, jak będę miał zarobek. Będę pracował...

Pan Baxter odrzucił to wszystko lekceważącym ruchem ręki.

— Nie idzie mi o pieniądze. Idzie mi o zasadę i nie mam zamiaru...

— Więc ojciec tego *nie* zrobi?

— Nie zrobię!

Wilhelm zrozumiał, że wyrok został wydany i wszelkie próby apelacji zgóry odrzucone. Zakrzuszył się i wpadł do domu, widząc, że nie warto ponawiać próśby.

— Biedny chłopiec! — rzekła matka.

— Biedny osioł! — odparł z gniewem pan Baxter. — O mało nie zwarzuje na punkcie tej panny Pratt. Pomyśl tylko, przychodzi tutaj i wygłasza prawdziwą deklamatorską rozprawę przed ojcem i matką! Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś podobnego! Nie lubię ranić jego uczuć i dałbym wszystko, cobym tylko mógł, a coby mu wyszło na dobre, ale on chce fraka tylko po to, żeby zrobić furorę na tem przyjęciu u Parcherów ze względu na tę żółtowlosą laleczkę! Uważam, że może iść w takim ubraniu, jak większość innych chłopców — takie, jakie ja nosiłem na przyjęciach — i ani mi przez myśl nie przeszło, żeby mieć co innego. Świat

przewraca się do góry nogami! Ma siedemnaście lat i wpada w szal, bo nie chcę mu dać fraka!

Pani Baxter zamyśliła się.

— Ale... ale przypuśćmy, że on czuje, że nie może iść na tańce bez fraka, biedny chłopiec...

— Tem lepiej—rzekł twardo pan Baxter.—Dobrze mu zrobi, jak będzie od tego zdaleka i zajmie się czem innem.

— Rozu nie się—wtrąciła z pewną nieśmiałością — że czterdzieści dolarów to nie taka wielka suma i gotowy garnitur na początek...

Naturalnie pan Baxter spostrzegł, do czego zmierziała.

— Czterdzieści dolarów to nie tysiąc—przerwał żonie—ale pocóż je trwonić? Jednym z powodów, dla których siedemnastoletni chłopiec nie powinien mieć wieczorowego ubrania, jest sposób, w jaki się obchodzi ze *wszelkiem* ubraniem wogóle. Czterdzieści dolarów! Przecież tylko podczas tego lata w jednym tygodniu usiadł dwa razy na otwartem pudełku z farbami Janeczki!

— No... panna Pratt *odjeżdża*, i te tańce to będzie jej ostatni wieczór. Obawiam się, że naprawdę go zabolalo, gdyby musiał wyrzec się tego. Pamiętam raz jeszcze, kiedyśmy nie byli zaręczeni—tego wieczoru, zanim mnie ojciec wywiózł za granicę i ty...

— To nanie, mamusiu—rzekł.—Oboje mieliśmy więcej niż po dwadzieścia lat—jakżeż, ja sam mia-

łem wtedy sześć lat więcej niż Wiluś. Niema żadnego porównania. Każę mu zrobić garnitur frakowy na urodziny, jak skończy dwadzieścia jeden lat, i ani minuty wcześniej. Ja w to nie wierzę i zamierzam przypilnować, żeby on sobie to głupstwo wybił z głowy. Musi się nauczyć twardego, zdrowego rozsądku!

Pani Baxter potrząsnęła z powątpiewaniem głową, ale nie powiedziała ani słowa więcej. Może być, żałowała trochę, że kazała tak bardzo poszerzyć frak pana Baxtera—gdyż miała nieco żaloszny wyraz twarzy. Wyglądała również dosyć niezrozumiale, można powiedzieć — zagadkowo—w czasie długiego milczenia, jakie między nimi zapanowało. Pan Baxter zaczął się kołysać, nie zważając na utkwiony w siebie wzrok żony—robią tak czasami i najlojalniejsi ludzie.

Zagadkowy wyraz znikł niebawem, ale ten żaloszny pojawiał się w oczach matki, ilekroć tego dnia zobaczyła syna i przy stole, przy którym zachowanie się Wilhelma było łagodne—nawet względem niemiłosiernego ojca.

Pod tą łagodnością udręczona dusza Wilhelma nie rozstrząsała dłużej rozpaczliwego postanowienia, ale zdecydowała się na nie ostatecznie, i następnego popołudnia Janeczka przypadkiem była świadkiem paru czynności, wypływających z tegoż postanowienia. Przyszła do matki z raportem.

— Mamusiu, jak mamusia myśli, na co Wilusio-

wi potrzebne te dwa stare kosze do sprawunków, które były w piwnicy?

— Dlaczego, Janeczko?

— Bo on je przyniósł do swego pokoju i zobaczył, że ja to widzę, i powiedział: — „Wynoś się stąd!” — i zamknął drzwi. On tak zabawnie wyglądał Naco mu te stare koszyki, mamusiu?

— Nie wiem. Może on sam tego nie wie, Janeczko!

Ale Wilhelm wiedział i to dobrze. Ustawił koszyki na krzesłach i z bładą determinacją przystąpił do ich napelniania. Po skończonej robocie obydwie kosze zawierały, co następuje:

Jeden ciężki zimowy garnitur.

Jeden lekki letni garnitur.

Jedną czapkę.

Jeden słomkowy kapelusz.

Dwie pary białych flanelowych spodni.

Dwie koszule płóciennie.

Dwie koszule jedwabne.

Siedem miękkich kołnierzyków.

Trzy jedwabne krawaty.

Jeden krawat trykotowy.

Osiem par skarpetek.

Jedną parę lakierków.

Jedną parę tenisowych pantofli.

Jeden płaszcz.

Trochę spodniej bielizny.

Jedną półkę książek, na dwie stopy szeroka, zawierając kilka solidnych matematycznych dzieł, dobrze zużytych, i pięć sztuk Szekspira w opracowaniu szkolnem w takimże stanie; dzieło o ekonomji politycznej i drugie o fizyce; *Szkolny Słownik Webstera*; *Jak Wchodzić do Salonu i 500 Innych Wskazówek*; *Dowcipne Powiedzenia o tem i o owem*; *Lorna Doone*; *Quentin Durwarda*; *Przypadki Sierloka Holmesa*, bardzo stary egzemplarz *Moths* i małą bibliję.

Wilhelm rozpostarł chustki do nosa na czubatyh pakach, tak, by ciekawscy nie mogli zorjentować się, co właściwie zawierały, i posłuchawszy chwilę pod drzwiami, wziął po koszu na każde ramię, zeszedł szybko po schodach i wybiegł z domu, przebył dziedziniec i wyostał się na wąską uliczkę — którą wybrał skromnie jako szlak swej podróży.

...Po dwóch godzinach powrócił z pustemi rękami, bardzo czemś strapiony.

— Matko, chciałbym o czemś z matką pomówić—zwrócił się do pani Baxter głosem, jasno wskazującym na nerwowe napięcie, w jakim żył w ciągu ostatnich dręczących dni.—Chciałbym pomówić o czemś ważnem.

— Słucham, Wilusiul

— Niech mamusia będzie łaskawa odprawić Janeczkę. Nie mogę mówić o rzeczach ważnych w obecności dziecka.

Janeczka naturalnie, usłyszawszy, że Wiluś ma powiedzieć coś ważnego, miała ochotę pozostać.

— Mamusiu, czy ja *muszę* iść?

— Na minutkę, kochaneczko!

Janeczka wymaszerowała posłusznie za drzwi, których za sobą nie zamknęła. Uszedłszy ze sześć kroków, zatrzymała się i, tłumiąc oddech, wynagrodziła sobie wygnanie podsłuchiowaniem tego, co mówiono w pokoju. Słyszała wszystko tak dobrze, jakby się tam znajdowała. Spokojne, myślące dzieci w rodzaju Janeczki pozwalają sobie na takie małe przyjemności częściej, niż się przypuszcza.

— Matko! — rzekł z wielkiem przejęciem Wilhelm — prosiłbym o pożyczenie mi trzech dolarów i sześćdziesięciu centów.

— Na co, Wilusiu?

— Matko, proszę o pożyczenie mi trzech dolarów, sześćdziesięciu centów.

— Ale na *co*?

— Matko, ja nie jestem w stanie o tem mówić, ja poprostu proszę o pożyczenie mi trzech dolarów i sześćdziesięciu centów.

Pani Baxter roześmiała się miękko.

— Nie wiem, czybym mogła, ale w każdym razie chciałabym wiedzieć — na *co*.

— Matko, będę miał niedługo osiemnaście lat, i kiedy proszę o tak małą sumkę, jak trzy dolary i sześćdziesiąt centów, to sędzę, że można mi zaufać, że będę wiedział, jak ją użyć dla mego do-

bra, nie będąc zmuszonym do odpowiadania na pytania jak dzie...

— Ależ Wilusiu — wykrzyknęła — powinienś mieć mnóstwo swoich własnych pieniędzy!

— Naturalnie, że powinienem — zgodził się gorąco. — Jeżeliby mamusia poprosiła ojca o dawanie mi stałej pen...

— Nie, nie; chcę powiedzieć, że powinienś mieć masę pieniędzy za te stare rupiecie i meble, które pozwoliłam ci sprzedać w zeszłym miesiącu. Miałeś przeszło dziewięć dolarów.

— To było pięć tygodni temu — wyjaśnił zniżonym głosem Wilhelm.

— Ale z pewnością coś ci się z tego zostało. Przecież, o ile wiem, to było *więcej* niż dziewięć dolarów! Myślę, że było prawie dziesięć. Pewnie nie...

— Piekło i szatani! — wykrzyknął urażony Wilhelm. — Człowiek, który ma mieć niedługo osiemnaście lat, powinien mieć możność wydania dziewięciu dolarów w ciągu pięciu tygodni bez tego, żeby mu to ktoś miał poczytywać za zbrodnię! Matko, zadaję jedno proste pytanie: czy mamusia będzie *łaskawa* pożyczyć mi trzy dolary i sześćdziesiąt centów?

— Myślę, że nie powinnam, mój drogi. Jestem pewna, że ojciecby sobie tego nie życzył, chyba, że mi powiesz, na co ci to potrzebne. Faktycznie,

nawet się nad tem nie zastanowię, o ile mi nie powiesz.

— Więc mamusia tego nie zrobi?—rzekł drżącym głosem.

Potrząsnęła łagodnie głową.

— Widzisz, mój kochany, obawiam się, że dla tego mi nie mówisz, na co ci to potrzebne, bo wiesz, że gdybym o tem wiedziała, tobym ci tych pieniędzy nie dała.

To proste postawienie kwestji tak go zniechęciło, że po paru monosylabowych wysiłkach kontynuowania z godnością rozmowy dał pokój i wyszedł, tak zaaferowany i zgnębiony, że minął w holu zaskoczoną Janeczkę, nie podejrzewając wcale, co ona tam robiła.

Tego wieczoru po obiedzie zwrócił się do ojca z namiętnem błaganiem o trzy dolary sześćdziesiąt centów, kładąc taki wzruszający nacisk na główny argument, że jeżeli nie dostał fraka, to przynajmniej powinien dostać trzy dolary *sześćdziesiąt centów* (akcent, położony przez Wilhelma), że pan Baxter skłaniał się już do przychylenia do jego prośby — ale niezupełnie.

— Chciałbym ci to dać, Wilusiu—rzekł, usprawiedliwiając się z odmowy—ale matka uważała, że nie powinna zgodzić się na to, o ile nie powiesz, na co ci to potrzebne, i jestem pewien, że nie chciałaby, żebym ja tak postąpił. Nie mogę ci dać tych

pieniędzy, o ile jej nie skłonisz do tego, że mnie sama o to poprosi.

Otrzymawszy taką radę, nieszczęśnik apelował następnego dnia do matki i, nie zmiękczwszy jej, znów następnego wieczora wystąpił z petycją do ojca.

I tak wkółko; zgoniony i rozdarty, Wilhelm apelował od ojca do matki i od matki do ojca i z pewnością od początku świata ta szczególna suma, trzy dolary sześćdziesiąt centów, nie była tak często wymieniana w żadnym domu i w takim przeciągu czasu, jak to miało miejsce w domu Baxterów przez poniedziałek, wtorek, środę i czwartek tego ciężkiego tygodnia.

Ale w piątek Wilhelm zniknął po śniadaniu i nie stawiał się na lunch.

VII

„UBRANIE ROBI CZŁOWIEKA”

Pani Baxter była zakłopotana. Po południu wyglądała często przez otwarte okno pokoju, w którym szyła, ale w sąsiedztwie panował niezmaczony spokój i z bruku ulicy nie doszedł jej ani razu odgłos znużonych kroków Wilhelma. Zato ujrzała nadciągającego Genezisa (w swym codziennym kostjumie), który szedł plec. Janeczka skoczyła mentalnie naprzeciwko w mieszanym celu obserwacji i konwersacji.

— O *czem* oni rozmawiają?—myślała pani Baxter, zauważywszy, że zarówno Janeczka, jak i Genezis, byli niezwykle ożywieni. Ale tym razem jej ciekawość miała być zaspokojona. Po półgodzinnej ekscytującej rozmowie Janeczka przyleciała do matki prawie bez tchu.

— Mamusiu—krzyknęła—wiem, gdzie jest Wiluś! Genezis mi powiedział, bo on go widział i rozmawiał z nim, kiedy Wiluś to robił.

— Co robił? Gdzie?

— Niech mamusia słucha! Jak mamusia myśli, co Wiluś robi? Założę się, że mamusia nie zga...

— Janeczko! — rzekła ostro pani Baxter. — Natychmiast mi powiedz, czego się dowiedziałas od Genezisa.

— Dobrze, mamusiu. Wiluś siedzi na podwórzu w składzie drzewa, koło którego Genezis przechodzi, idąc z tej alei, gdzie mieszkają wszyscy czar-ni—i on liczy dziury od sęków w gontach.

— Co *takiego*?

— Zaraz, mamusiu. Genezis wie, jak to wszystko jest, bo sam to zamierzał robić, tylko, powiada, że to za wolno idzie. To tak jest, mamusiu. Niech mamusia słucha, bo to właśnie dokładnie tak jest. Więc ten właściciel składu drzewa narobił sobie jakiegoś kłopotu, bo on kupił miliony, miliony gontów, mamusiu, co miały dużo złych sęków, i on nie chce za nie zapłacić, czy też skład, gdzie on to kupił, nie chce wziąć zpowrotem, i oni muszą

wykazać, ile gontów jest złych, gontów czy coś takiego, i w każdym razie, mamusiu, Wiluś to robi. Za każdym razem, jak on trafi na niedobry gont, mamusiu, to on go odkłada gdzie indziej, czy coś takiego, mamusiu, i za każdym razem, jak on odłoży tysiąc złych gontów na tem innem miejscu, to oni mu dają sześć centów. On dostaje za to sześć centów, mamusiu — i on to robi cały dzień.

— Jezus Marja!

— Och, to jeszcze nic, mamusiu — niech mamusia czeka, aż usłyszy resztę. *Ta* część tego to zupełnie nic nie jest, mamusiu? Zaledwieby mamusia zwróciła uwagę na tę część, gdyby mamusia wiedziała drugą część tego wszystkiego. To przecież *nic* nie jest! — Janeczka zademonstrowała pogardę dla świeżo udzielonej mało znaczącej informacji.

— Janeczko!!

— Słucham, mamusiul!

— Chcę wszystko wiedzieć, co ci Genezis powiedział — rzekła matka. — Masz mi powiedzieć to tak szybko, jak tylko możesz.

— Więc ja właśnie *opowiadam*, mamusiul — zaprotestowała Janeczka. — Właśnie *zaczynam* opowiadać. Nie mogę opowiedzieć, jeżeli nie zacznę od początku czy nie? Jakby coś mogło być, jeżeliby się tego nie zaczęło, mamusiu?

— Staraj się opowiadać prędzej, Janeczko!

— Dobrze, mamusiu. Więc Genezis powiada — Mamusiul — Janeczka przerwała sobie cienkim okrzy-

kiem. — Och, założę się, że wiem, *naco* mu były potrzebne te dwa kosze! Tak, panie tego! To on to zrobił! A potem potrzeba mu było reszty pieniędzy, i mamusia, i tatuś wcale mu nie chcieli dać, więc on zaczął dzisiaj liczyć gonty, dlatego, że dziś wieczorem przyjęcie i on to *musi* mieć!

Pani Baxter wstała, ale przypomniawszy sobie incydent z koszami, osunęła się znów na krzesło.

— Jak Genezis mógł wiedzieć, że Wilusiowi potrzeba czterdziestu dolarów, i jeżeli Wilus coś zastawił, jak się Genezis o *tem* dowiedział? Czy Wilus powiedział Gen...

— Och, nie, mamusiu, Wilusiowi potrzeba było tylko czternaście dolarów — nie czterdzieści!

— Ale za czternaście dolarów on nie mógł dostać nawet najtańszego gotowego garnituru frakowego.

— Mamusia wszystko mieszał! — wykrzyknęła Janeczka. — Niech mamusia słucha! Genezis wie wszystko o sklepie ze starzyzną w alei, wszystko tam prawie można dostać, i Genezis mówi, że to wspaśniały sklep! Można dostać garnitury dla kelnerów w różnej cenie aż do dziewiętnastu dolarów dziewięćdziesięciu dziewięciu centów. Więc Genezis chce kupić jeden taki garnitur, więc on wciąż tam chodzi i rozmawia z tym kupcem i targuje się, i targuje się z nim, bo Genezis mówi, że tamten to jest najtargowszy człowiek na szerokim świecie! Tak mówi Genezis. A ten człowiek, mamusiu, nazywa

się Jednooki Beljus. To jego nazwisko, tak powiada Genezis. Więc ten człowiek, o którym Genezis mi powiedział, który ma sklep — to jest Jednooki Beljus, mamusiu — więc Jednooki Beljus ma nazwisko Wilusia zapisane w książce, i on wie, że Genezis pracuje dla rodzin, które mają takich chłopców, jak Wiluś, i dzisiaj rano Jednooki Beljus pokazał Wilusia nazwisko, zapisane w tej książce, i Jednooki Beljus zapytał Genezisa, czy on zna kogo o takim nazwisku i wszystko o nim. Więc początkowo Genezis udawał, że próbuje sobie przypomnieć, bo chciał się dowiedzieć, poco tam Wiluś chodził. Genezis nie opowiadał żadnych historii, mamusiu; on tylko udawał, że nie może sobie przypomnieć. I więc Jednooki Beljus mówił i mówił, i prędko Genezis o wszystkim się dowiedział. Jednooki Beljus powiedział, że Wiluś tam przyszedł i przymierzał kurtkę od jednego z tych garniturów dla kelnerów...

— Och, nie! — rzekła, tracąc dech, pani Baxter.

— Tak, mamusiu, i Jednooki Beljus powiedział, że tylko ten jeden był w sam raz na Wilusia, i Jednooki Beljus powiedział Wilusiowi, że ten garnitur kosztuje czternaście dolarów, i Wiluś powiedział, że nie ma wcale pieniędzy, ale chciałby za to co przehandlować. Więc Jednooki Beljus powiedział, że to jest strasznie elegancki garnitur i jedyny, jaki on ma, co należał do białego dżentelmana. Więc oni targowali się, i targowali się, i targowali się,

i *targowali się* I potem... więc wkońcu Wiluś powiedział, że pójdzie i przyniesie wszystko, co do niego należy, i Jednooki Beljus będzie mógł wybrać dosyć za czternaście dolarów wartości, i Wiluś będzie mógł mieć garnitur. Więc dobrze. Wiluś poszedł do domu i włożył wszystko, co miał, co do niego należało, do tych dwóch koszyków, mamusiu—tak on zrobił, dlatego, że Genezis powiedział Jednookiemu Beljusowi, że to było wszystko, co do niego należało, i to zappełniło dwa kosze, mamusiu. Więc dobrze, on powiedział Jednookiemu Beljusowi wybrać za czternaście dolarów wartości, i Jednooki Beljus zapytał Wilusia, czy on nie ma zegarka. Więc Wiluś wyjął zegarek, i Jednooki Beljus powiedział, że to strasznie zły zegarek, ale że on da za niego dolara, i on powiedział: — „Za szpilkę z krawata dołożę panu czterdzieści centów więcej” — więc Wiluś wyjął ją z krawata. I wtedy Jednooki Beljus powiedział, że wszystkie rzeczy z koszyków wyniosą już, zapomniałam ile, i za zegarek jednego dolara więcej, a za szpilkę czterdzieści centów i że wtedy trzeba jeszcze będzie, żeby Wiluś dopłacił trzy dolary sześćdziesiąt centów, zanim będzie mógł dostać ten garnitur.

Twarz pani Baxter oblała się ciemnym rumieńcem, ale chciała dowiedzieć się wszystkiego, co mówił Genezis, i z wysiłkiem opanowując swoje uczucia, kazała Janeczce dalej opowiadać. Ja-

neczka wykonała rozkaz po kilkakrotnem głębokiem odetchnięciu.

— Więc najgorsze z tego wszystkiego to to, że Genezis mówi, że w tem ubraniu straszy.

— Co?

— Tak, mamusiu—rzekła uroczyście Janeczka—Genezis mówi, że w tem ubraniu straszy. Genezis powiada, że wszyscy w alei wszystko wiedzą o tym garniturze, i on powiada, że dlatego przedtem Jednooki Beljus wcale go nie mógł sprzedać. Genezis powiada, że Jednooki Beljus próbował je sprzedać murzynowi za trzy dolary, ale czarny powiedział, że nie włożyłby go na siebie za trzysta dolarów, i Genezis powiada, że on teżby nie włożył, dlatego, że należało do kelnera Dago, który, który... — Głos Janeczki przeszedł w trwożnie uroczysty szept. Bawiła się cudownie!—Mamusiu, ten kelner Dago mieszkał w alei i on wziął scyzoryk i naostrzył *i uciął nim głowę jednej pani!*

Pani Baxter wydała słaby okrzyk.

— I powiesili go, mamusiu! Jeżeli mamusia nie wierzy, to może się zapytać Jednookiego Beljusa—przypuszczam, że on wie! I może mamusia zapytać...

— Cicho!

— I on sprzedał to ubranie Jednookiemu Beljusowi, kiedy był w więzieniu, mamusiu. Sprzedał mu je, zanim go powiesili, mamusiu.

— Cicho, Janeczko!

Ale w tym punkcie Janeczka nie mogła już umilknąć.

— I on miał to ubranie na sobie, kiedy urzy-
nał tej pani głowę, mamusiu, i dlatego w tem ubra-
niu straszy. Wyczyścili je całe z wyjątkiem paru
małych plamek kr...

— *Janeczko!* — krzyknęła matka — nie powinnaś
mówić o takich rzeczach, i Genezis nie powinien
ci opowiadać tego rodzaju historyj!

— Więc jak on mógł nie opowiedzieć mi tego,
jeżeli mi opowiadał o Wilusiu? — oznajmiła rozsąd-
na Janeczka.

— Mniejsza z tem! Czy to szalone dzie... Czy
Wilus *zostawił* kosze w tem strasznem miejscu?

— Tak... i zegarek, i szpilkę — objaśniła z prze-
jęciem Janeczka. — I Jednooki Beljus chciał wie-
dzieć, jak Genezis myśli, czy Wilus będzie mógł
zdobyć trzy dolary sześćdziesiąt centów. I Jedno-
oki Beljus chciał wiedzieć, jak Genezis myśli, czy
Wilus mógłby jeszcze co przynieść oprócz tego.
Powiedział Genezisowi, że nie powiedział Wilusio-
wi, że on *moż*ł ostatecznie dostać ten garnitur; po-
wiedział mu, że *myśli*, żeby mógł, ale nie chciał
powiedzieć na pewno, dopóki nie przyniesie mu
trzech dolarów sześćdziesięciu centów. Więc Wi-
lus *zostawił* tam wszystkie rzeczy i zegarek, i...

— Dosyć! — Głos pani Baxter zabrzmiał tak ostro,
jak nigdy przedtem za pamięci Janeczki. — Nie po-
trzebuję więcej słyszeć i nie *chcę* więcej słyszeć!

Janeczka uczuła się słusznie dotknięta.

— Ależ mamusiu, to nie *moja* wina!

Pani Baxter otworzyła usta, ale się wstrzymała.

— Wina?—rzekła poważnie. — Ciekawa jestem, czyja to naprawdę wina!

Z temi słowami udała się pośpiesznie do pokoju Wilhelma i zrobiła szybki przegląd szafy do ubrań i toaletowego stolika. Poczem pod bacznym wzrokiem strwożonej i milczącej Janeczki podeszła do okna i zawołała głośno:

— Genezis!

— Słucham pan!—zabrzmiął głos zdołu.

— Idźcie do składu drzewa, gdzie pracuje pan Wilhelm, i natychmiast go do mnie przyprowadźcie. Jeżeli nie będzie chciał, to mu powiedzcie...—Głos załamał się jej w dziwny sposób, chrząknęła, ale Janeczka nie była w stanie orzec, co to był za rodzaj wzruszenia.—Powiedzcie mu... powiedzcie mu, że kazałam wam użyć siły, jeżeli to będzie konieczne. Prędko!

— *Słucham* pan!

Janeczka podbiegła do okna w samą porę, by ujrzeć Genezisa. znikającego majestatycznie za bramą.

— Mamusiu...

— Nie odzywaj się teraz do mnie, Janeczko — rzekła ostro pani Baxter.—Zejdź na podwórze, i jak Wiluś nadejdzie, powiedz mu, że czekam na niego

w jego pokoju. I nie przychodź z nim, Janeczko. Jazda!

— Dobrze, mamusiu. — Janeczka była zadowolona z polecenia; pragnęła gorąco zobaczyć pierwsza, jak „wygląda” Wiluś.

...Wyglądał na zdenerwowanego, zgrzanego i bez tchu; miał bąble na zaczerwienionych dłoniach.

— Cóż się stało, na Boga, mamó? — zapytał, stając przed nią i dysząc ciężko. — Genetis powiedział mi, że stało się coś złego, i powiedział, że mamusia kazała mu mnie uderzyć, jeżeli bym nie chciał przyjść.

— Och, *nie!* — krzyknęła. — Ja tylko sądziłam, że nie zechcesz posłuchać zwyczajnego wezwania...

— Dobrze, dobrze, mniejsza z tem, ale proszę, niech się mamusia śpieszy i mówi, co ma do powiedzenia, bo ja muszę wracać i...

— Nie — odparła spokojnie pani Baxter. — Nie wrócisz już, żeby liczyć dachówki, Wilusiu. Jak dużo zarobiłeś?

Chrzaknął, ale powiedział odważnie:

— Trzydzieści sześć centów. Ale przez ostatnie dwie godziny o wiele mi szybciej idzie i... i do szóstej jest jeszcze dużo czasu. Mamó...

— Nie — rzekła. — Pójdiesz do tego straszego miejsca, gdzie zostawiłeś ubranie, zegarek i wszystkie inne rzeczy, które były w koszykach, i przyniesiesz je do domu natychmiast!

— Mamó! — krzyknął przerażony. — Kto mamusi powiedział?

— Mniejsza o to. Nie chcesz, żeby się ojciec dowiedział, nieprawdaż? Więc wracaj z temi rzeczami tak prędko, jak tylko możesz. Muszą iść do dezynfekcji po tej norze.

— Wcale nie były wyjmowane z koszyków — zaprotestował zapalczywie — tylko tyle, że je obejrzano. To *moje* rzeczy, mam, i mam prawo robić z niemi, co chcę, czy nie? — Słowa z trudnością przechodziły mu przez gardło. — Mama i ojciec nie *mogą* poprostu zrozumieć — i nie chcą nic zrobić, żeby mi pomóc!

— Wiluś, możesz iść na to przyjęcie — rzekła łagodnie. — Nie potrzebne ci było wcale to okropne ubranie.

— Właśnie, że potrzebne! — krzyknął. — Ja *muszę* je mieć! Nie *mogę* iść w mojem zwyczajnem ubraniu! Jest powód, że nie mogę, aleby go mamusia nie zrozumiała. Poprostu *nie mogę*!

— Ależ tak — rzekła — możesz iść na to przyjęcie.

— Nie mogę! Chyba, że mi mamusia da trzy dolary i dwadzieścia cztery centy, albo chyba, że wrócę do składu drzewa i zarobię resztę, zanim... —

— Niel — Ciemny rumieniec, który oblał twarz panny Baxter w czasie sensacyjnych rewelacji Janeczki, powrócił jeszcze szkarłatniejszy niż przedtem. Oczy jej zabłyśły. — Jeżeli wolisz, żebym po te koszyki posłała policjanta, to go posłę. Wolalbym nawet to drugie! I kazałabym tego łotra are-

sztować. Jeżeli nie chcesz, żebym posłała policjanta, to możesz sam iść po nie, ale musisz wyruszyć w ciągu dziesięciu minut, bo w przeciwnym razie zatelefonuję do komisariatu. Dziesięć minut, Wilusiu, ja wcale nie żartuję!

Zaprotestował z krzykiem. Gdyby posłała po policjanta, na zawsze uczyniłaby zeń przedmiot drwin i pogardy i odebrałaby mu honor. Pan Beljus jest porządnym i uczciwym kupcem, wyjaśnił namiętnie, i inicjatywa nie od niego wyszła. I również wiadomy garnitur, chociaż niezupełnie nowy i nie najświeższej mody, był z dobrego materiału i w doskonałym stanie. Z wszelką pewnością to był frak i tak tanio kupiony za te czternaście dolarów, że Wilhelm ręczyłby, że go sprzeda za dwadzieścia po tym jednym wieczorze. Sam pan Beljus powiedział, że aniby mu na myśl nie przyszło sprzedać je komu innemu za czternaście dolarów; co zaś do dwóch nędznych koszyków znoszonych, bezużytecznych rzeczy, ofiarowanych wzamian, i zgiętej szpilki do krawata, i wytartego, starego, srebrnego zegarka, który należał do stryjecznego dziadka — to przecież ofiarowane za to wszystko dziesięć dolarów i czterdzieści centów były sumą aż nadto hojną; to było prawie dobrodziejstwo. W mieście było tylko jedno miejsce, gdzie można było wynająć wieczorowe ubranie, ale podejrzliwi funkcjonariusze domagali się od Wilhelma gwarancji jego ojca, zapewniającej zwrot ubrania w

takim samym stanie. To więc było beznadziejne. I czyż nie lepiej było włożyć ubranie, które poprzednio znało tylko jednego właściciela, (jak to miało miejsce z ofertą Beljusa), niż wynajmować to, co już było wynajmowane przez setki przypadkowych osobników? Wkońcu pozostała do rozważenia jedna tylko ewentualność, a mianowicie fakt, że Wilhelm musiał mieć to ubranie!

— Sześć minut — rzekła pani Baxter, patrząc nieubłaganie na swój zegarek. — Jak będzie dziesięć, zatelefonuję.

Z końcem tego terminu zwyciężyła naturalnie kobieta — i moralnie, i fizycznie. W trzy kwadranse później rozpakowywała obydwie kosze i układała rzeczy na swoim miejscu. Czynnościom tym towarzyszył wyraz silnego obrzydzenia — pomimo urywanych zapewnień, że pan Beljus zaledwie dotknął się tych przedmiotów, danych mu do oceny.

... Przy obiedzie, który tego wieczoru podano niezwykle wcześnie, pani Baxter prawie nie spoglądała na syna; odwracała oczy od jego pobladłej twarzy i większą część czasu zużyła na napominanie męża, że powinien się szybko ubrać, żeby się nie spóźnić na zebranie klubu karcianego, na którym tego wieczoru mieli być oboje. Nagliła go tak natarczywie, że pan Baxter, zaprotestowawszy, że nie było sensu przychodzić o całą godzinę za wcześnie, postępując, poszedł się ubierać, nie przeczytawszy nawet gazety.

Wilhelm wyniósł się do swego pokoju, gdzie pociemku położył się na łóżku. Przez zamknięte drzwi dochodziły go niewyraźnie wieczorne odgłosy — brzęk metalu i porcelany z odległej kuchni, śmiech Janeczki w hallu, otwieranie i zamykanie drzwi. Potem zdawało się, że ojciec irytował się na coś. Wilhelm słyszał, jak żalił się przed panią Baxter, i chociaż nie można było rozróżnić słów, to przecież nie można było mieć wątpliwości co do mocno żalosego tonu. Pani Baxter śmiała się i, zdawało się, że niewiele sobie robiła z jego lamentów, jakikolwiek był ich powód; — niebawem na schodach dał się słyszeć odgłos ich kroków, i frontowe drzwi zamknęły się z trzaskiem. Poszli.

Zrobiło się cicho. Otwarte okno wyglądało jak zielonawy prostokąt, osadzony na czarnem tle. Wilhelm wiedział, że za małą chwilę wpłyną przez nie wśród ciszy wieczornej odległe tony skrzypiec. Na myśl o tej chwili doznawał uczucia bolesnego lęku. Leżąc smutnie na łóżku, myślał o jasno oświetlonych pokojach, w których ubierali się z zapalem inni chłopcy z rozjaśnionemi twarzami, wyszczotkowanemi włosami, bijącemi w przyspieszonym tempie sercami. — Chłopcy, którym przypadnie w udziale „ostatni walc razem”, tni uśmiech i ostatnie westchnienie.

Ani razu nie przyszło mu do głowy, że mógłby iść na tańce w swoim „najlepszym ubraniu” albo że prawdopodobnie młodzież, biorąca udział w za-

bawie, będzie zbyt zajęta własnymi sprawami, by zwrócić szczególniejszą uwagę na jego ubiór. W jego mniemaniu nie podlegał najmniejszej wątpliwości granitowy fakt, że cały szyderczy świat dowie się prawdy o tem, jak on poprzednio paradował w ubraniu ojca. Tego rodzaju hańba nie dawała się nawet pomyśleć. Możliwe, że w ochronnych ciemnościach i odosobnieniu pokoju Wilhelma piekące oczy ulżyły sobie energicznem mrużeniem; możliwe nawet, że na poduszce pozostała malutka wilgotna plamka. Siedemnastoletni mężczyzna niezawsze może opanować małego chłopczyka, kryjącego się jeszcze pod wszelkimi osłonami.

Nadszedł moment, na który oczekiwał z boleśnią ścisniętą sercem; w cichem nocnem powietrzu zabrzmiały tony tanecznej muzyki; jednocześnie zapukano do jego drzwi, i miękki głosik zawołał:

— Wiii... luuś!

Wilhelm wydał ostry okrzyk, zrzucił nogi z łóżka i usiadł. Ze wszystkich niepożądanych rzeczy—najniepożądanejszą była rozmowa Janeczki albo z Janeczką. Ale zapomniał zamknąć drzwi na klucz—klamka poruszyła się, i do pokoju wmaszerowała szara mała figurka.

— Wiluś, Adela ma mnie położyć do łóżka.

— Wynoś się stąd—rzekł ochryplym głosem.—Nie mam czasu, żeby z tobą gadać. Jestem zajęty.

— Dobrze, ale czy nie mógłbyś minutki zaczekać?—zapytała rozsądnie. — Muszę ci powiedzieć żart mamusi.

— Daj mi spokój z żartami!

— Kiedy ja *muszę* ci powiedzieć ten jeden, bo mi mamusia kazała! Och! — Janeczka uderzyła się ręką po ustach i zaczęła skakać gorączkowo, przy czem jej sylwetka na tle oświetlonych drzwi rysowała się nader fantastycznie.—Och, och, *och!*

— Co ci się stało?

— Mamusia powiedziała, że nie trzeba, *nie trzeba*, żebym powiedziała, że ona kazała mi powiedzieć! Święty Józefie! Zapomniałam o tem! Mamusia wzięła mnie samą na stronę po obiedzie i powiedziała mi, żebym ci powiedziała o tym jej żarciku trochę później, jak już mamusia i tatuś wyjdą z domu, ale powiedziała:—*Nadewszystko*, powiedziała, *nie mów* Wilusiowi, że *ja* ci kazałam to powiedzieć. Tak właśnie powiedziała, i to jest pierwsza rzecz, jaką musiałam iść i zrobić!

— To i cóż z tego?

Janeczka uspokoiła się. Wyrzuty sumienia zatraciły się w jej upodobaniu do sensacji, a głos przeszedł w przejmujący szept, będący jedną z jej największych przyjemności.—Czy nie słyszałeś, jak się tatuś awanturował, kiedy się ubierał na te karty?

— Co mnie to obchodzi, czy...

— Musiał iść w swoim zwykłym ubraniu—za-

szeptala triumfalnie Janeczka. — I to jest żart mamusi! Ty znasz tego krawca, co poszerzył o taki ławał wieczorowe ubranie tatusia; więc mamusia myśli, że ten krawiec musiał myśleć, że mamusia jest warjatka, czy coś takiego, bo w ostatni poniedziałek zaniósła do niego to tatusia ubranie, żeby je wyprasował na te karty, i mamusia przypuszcza, że musiało mu się zdawać, że mu kazała oprócz prasowania zrobić dużo innych rzeczy. W każdym razie wziął i przerobił je i zmniejszył je o kawał; i dziś, po południu, kiedy je przysłali, było nawet jeszcze ciaśniejsze jak na samym początku, a tatuś nie mógł zacząć go wciągnąć! Więc ono jest wyprasowane i wszystko i, wychodząc z domu, mamusia się zatrzymała i powiedziała do mnie pocichu, że taka jest zdenerwowana tym żartem, że nie może sobie przypomnieć, gdzie je położyła, jak je zabrała z tatusia pokoju, jak już tatuś przestał próbować się w nie ubrać. — To — krzyknęła Janeczka — jest najśmieszniejsze ze wszystkiego! Przecież to w tej chwili leży na łóżku mamusi!

Jednym skokiem Wilhelm znalazł się za otwartymi drzwiami. Dwie sekundy wystarczyły mu na przebycie hallu i znalezienie się w sypialnym pokoju matki — gdzie elegancko rozłożony na koronkowej kapie, świetniejszy niż szaty koronacyjne, piękniejszy niż święte suknie Józefa, leżał Frakowy Garnitur!

VIII

MŁODOŚĆ I PAN PARCHER

Kiedy zziąjany światowiec w prawie bez zarzutu leżącym fraku wyszedł z bramy ojcowskiego domu i podążył ku miejscu, skąd dochodziły słabe tony muzyki tanecznej, dziecinny głosik zawołał za nim słodko z któregoś z okien, pogrążonego w ciemnościach domu:

— *Więc w każdym razie baw się dobrze, Wilusiul*

Wilhelm ani nie odpowiedział, ani przystanął. Pożegnalny okrzyk Janeczki, chociaż najwidoczniej życzliwy, wydawał się w niezbyt dobrym tonie, i odpowiedź mogłaby wywołać w niej wrażenie, że skłaniał się niejako do dyskusowania z nią o swych wewnętrznych przeżyciach. Ruszył pośpiesznym, lecz wyniosłym krokiem. Księżyc był wysoko, lecz zasłaniały go cieniste drzewa, rosnące wzdłuż chodnika, i wyniosłości tej nie dostrzegło żadne ludzkie oko, niemniej jednak Wilhelm uważał ją za konieczną.

Janeczki przyjacielskie, lecz nie na miejscu „w każdym razie” dotknęło dręczących go już wątpliwości. Był pewien, że się spóźni na zabawę— i to tak, że może będzie miał trudności w uzyskaniu odpowiedniej ilości tańców u świętej dziewczeczki, na której cześć obchodzono tę uroczystość. Zbyt wielu było pod urokiem jej boskości, dobrze

o tem wiedział i nie był poprostu w stanie znaleźć w swym trwożnym umyśle miejsca na wątpliwości, że tamci drudzy mogli się piekielnie pośpieszyć.

Ale w miarę, jak biegł ulicą, fantazja w nim rosła, i ostatecznie rzucił odpowiedź Janeczce, chociaż dzieliło ich już sto jardów.

— Aha! możesz się założyć o swego ulubionego dolara, że będę się bawill—mruknął z determinacją przez zęby.

Samo wypowiedzenie tych słów spotęgowało siłę jego postanowienia i jednocześnie dodało mu otuchy. Opuszczała go obawa, której miejsce zajęło oszałamiające wzburzenie, gdy znalazł się na zakręcie i muzyka zabrzmiała głośniej w jego rozdzwonionych uszach. Już niedaleko przed nim tuż, tuż leżała czarodziejska scena.

Oczarowane gromadki niezaproszonych osobników, po większej części nie-białoskórych, opierały się górnymi częściami korpusów o górne sztachety parkanu Parcherów. Oczom Wilhelma przedstawili się oni niby sylwetki tłumu na tle pożaru. Za ogrodzeniem jasne postaci migwały, błyskały i fruwały po białej platformie, podczas gdy wysoko, wgórze, młody księżyc przesiewał skąpe światło przez liście klonu na miejsce, gdzie wśród błękitnej nocy jaśniały szeregi różowych lampjonów. Łagodny wie-trzyk unosił drżące, srebrne tony harfy, słodkie, porywające dźwięki skrzypiec i wiolonczeli i ginał wśród liści klonowych razem z rytmicznym

śpiewem fletu. A przez cały czas z platformy do-
latywały piskliwe dziewczęce okrzyki i rytmiczne
szuranie młodych nóg, gdzie czarowna taneczna
muzyka jak zawsze i na zawsze porywała duże
nogi i drobne nożki.

Serce Wilhelma przez całe lato wyprawiało nie-
stworzone rzeczy, ilekroć jego oczy padły na szta-
chety domu Parcherów, ale tym razem przeszło
ono samo siebie. Był zmuszony otworzyć usta
celem złapania oddechu, tak głęboko zachłysnął się
młodem winem romantyczności. Tam—gdzieś w tej
oszałamiającej jasności—tańczyła jego Królowa,
w otoczeniu całego swego Dworu. Królowa i Dwór,
myślał Wilhelm, i nic skromniejszego nie mogło
wyrazić jego uczuć. Gdyż siedemnastu wiosnom
potrzeba tylko kilku papierowych latarni, skrzypiec
i ładnej dziewczyny — i Wersal gotów!

Moment był tak bogaty, że Wilhelm przebył
ulicę w wolniejszym nieco tempie. Nastrój jego
uległ zmianie: ogarnęła go egzaltacja, chociaż ani
na moment nie tracił z myśli tragedji, kryjącej się
pod tym całym światowym szychem i blaskiem.
Była to ostatnia noc pobytu bóstwa; jutro miasto
będzie leżało opuszczone niby pusta, porzucona
w kurzu muszla bez niej. Panna Pratt odjedzie da-
leko *pociągami*! Ale dziś — wieczorem dopiero się
zaczynało i dziś wieczorem będzie z nią tańczył;
będzie z nią tańczył i tańczył—będzie tańczył, tań-
czył jak szalony. On i ona, poetyczna i tragiczna

para, tańczyć będą, ach! tańczyć! Będą tańczyli, upojeni światłami — światłami, kwiatami i muzyką. Nie, kwiaty mogą opaść, światła mogą pogasnąć, może umilknąć muzyka, może nastać świt — ona i on tańczyć będą, na nic nie pomni, tańczyć, tańczyć, tańczyć!

Poczucie malowniczości — swojej własnej malowniczości — sprawiło, że mijając grupę pokornych widzów, dekorujących sztachety, począł iść nieco teatralnie. Wielu z nich odwróciło się celem pogapienia się na spóźnionego gościa, i Wilhelm uświadamiał sobie zarówno ich szarą przyziemność, jak swoją własną wyższość patrycjusza, światowca, strojnego w prawie bez zarzutu leżący frak. Słaby, chłodny uśmiech ukazał się na jego ustach, jednocześnie fragment z przeczytanej powieści przyszedł mu momentalnie na pamięć... „Wśród patrzących tłumów poniesiono ku Palatynowi młodego szlachetnego Augustjanina, pogardliwie obojętnego w błyszczącej od klejnotów lektyce...”

Szmer podziwu doszedł do uszu Wilhelma:

— Oh, oh, jagódka! patrzeć na ten frak! To bogata chłopak, jagódka!

— A jakże, ooo! Założyć, że ta minuta mieć kieszenie pełne dwadzieścia dolary złota sztukil

— A jakżeby nie, jagódka!

Wilhelm pozwolił powiększyć się chłodowi słabego uśmiechu — pozwolił mu przejść w grymas pogardy! Te biedne, uliczne kreaturki nie wiedziały,

co wrzało za alabastrowej białości gorsem młodego szlachetnego Augustjanina! Cóż *ich* mogło obchodzić, że to był ostatni wieczór panny Pratt i że on zamierzał tańczyć z nią, tańczyć, tańczyć i tańczyć?

Z niemal surową miną pozostawił za sobą te nędzne istnienia i poszedł ku bramie.

Na jednym ze słupów tej bramy opierało się ramię zamyślnego człowieka w średnim wieku albo troszkę gorzej. Ze wszystkich osób, znajdujących się z tego czy innego powodu wewnątrz tego jasnego kręgu, on był tego wieczoru najmniej ważny, gdyż był niczem więcej, jak tylko ojcem, który zapłacił wszystkie rachunki. Jednakowoż nawet ten zaniędbany starszy pan miał coś wspólnego ze zbliżającym się właśnie Augustjaninem: pan Parcher myślał w tej chwili tak samo, jak Wilhelm, że rozciągająca się przed jego oczami scena była naprawdę romantyczna.

Ale to, co pan Parcher uważał za romantyczny pierwiastek, wypływało z faktu, że ta młodzież tańczyła na miejscu, gdzie ich pradziadowie byli skalpowani przez Indjan. Grali im potomkowie, być może, Romulusa, Messaliny i Benvenuta Celliniego, a wokoło domu kręcili się i gawędzili, czekając na chwilę podania tancerzom przysmaków i napoi, wnuki mieszkańców Kongo, tylko o jedną mniej więcej generację oddaleni od czasów, kiedy to z okazji pojawienia się obcego, przypadkowego gościa urządzano tańce, przy których posilano się

osobą tegoż gościa. Krótko mówiąc, taki był szczególny pogląd pana Parchera na to, co stanowiło romantyczny element zabawy.

Co do innego przedmiotu, zaprzatającego zarówno umysł pana Parchera, jak i Wilhelma, ich poglądy, jakkolwiek zasadzające się na jednej myśli, nie miały z sobą zasadniczo nic wspólnego. Tym absorbującym przedmiotem był bliski wyjazd panny Pratt — ani pan Parcher, ani Wilhelm nie zapominali o tem na jedną chwilę. Wszystko jedno, co zajmowało powierzchownie i przelotnie ich uwagę, każdy z nich powtarzał sobie w głębi duszy: — To ostatni wieczór — ostatni wieczór! Panna Pratt odjeżdża — odjeżdża jutro!

Wyraz twarzy pana Parchera był cichy i pogodny. Pogodniejszy niż od długiego, długiego czasu. W samej rzeczy wyglądał na człowieka, który żył w istnym młynie, a teraz miał przed sobą perspektywę spokojnych, wypoczynkowych wakacji. Gdyż są ludzie na świecie, którzy nie żywią żadnego respektu dla pamięci Ponce de Leon, i pan Parcher do nich należał. Wyeliminowanie Wilhelma z wieczorowych posiedzeń uczyniło ciężar lżejszym do zniesienia; jednakże pan Parcher stwierdziłby szczerze i otwarcie przed każdą odpowiedzialną i zainteresowaną osobą, że tęsknota za utraconą młodością wcale się nie spotęowała wskutek pobytu w jego domu przez całe lato przyjaciółki córki, hałaśliwej osiemnastoletniej piękno-

ści, która szczebiotała po dziecinnemu już przy śniadaniu i napełniała swemi konkurentami całe niewielkie mieszkanie i jedyną werandę—od ósmej z rana aż do późnych nocnych godzin, długo po terminie, kiedy ich matki (zdaniem pana Parchera), powinny były posłać ojców, by sprowadzić ich do domów. Na optymizm pana Parchera fatalnie wprost podziałął bogaty materiał obserwacyjny, tyżący się młodocianej miłości, którego zebranie było nieuniknione: oświadczał wielokrotnie, że stracił prawie zupełnie wiarę w ludzką rasę. Oprócz tego okazał się fizycznie wzruszająco niewytrzymały na nocne kwartety, kwintety i nawet oktety na werandzie pod oknem jego sypialni, tak, że mawiał do żony, że zapewne nigdy, już nigdy więcej nie będzie tym samym człowiekiem, jakim był na wiosnę, przed przyjazdem gościa Marysi. I nawiązując do rozmów, które z konieczności bezustannie podsłuchiwał, pan Parcher dodawał, że jeżeli i on w ten sposób bredził, będąc w ich wieku, to wolałby się utopić w zwyczajnej sadzawce, umrzeć i skończyć z tem raz na zawsze, niż wykapać się w Ponce de Leon.

Bądź co bądź, lato było ciężkie; wątpił, czy mógłby je przeżyć, gdyby się trochę przedłużyło. Ale teraz, kiedy się wreszcie faktycznie skończyło, taki był rad z wyjazdu ślicznej przyjaciółeczki córki, że nie miał nic przeciwko szumnemu zakończeniu jej wizyty. Więcej—by przyspieszyć odjazd

gościa—tak był hojnie nastrojony — byłby zapłacił dwa i trzy razy tyle za światło, kwiaty, muzykę, sandwicze, kawę, kurczęta na zimno, ciastka, limonjady i lody.

Tak to jedna myśl absorbowowała Wilhelma i pana Parchera, przeciwstawiając się uporczywie wszelkim innym myślom.—Panna Pratt odjeżdża! — myślał Wilhelm. — Panna *Pratt* odjeżdża — jutro! — dumiał pan Parcher.

Niewypowiedziane słowa zdążyły tragicznie w głowie Wilhelma w kierunku bramy, podczas gdy te w głowie pana Parchera oddalały się z zadowoleniem, gdyż ich właściciel spostrzegł właśnie zdaleka żonę i podszedł do niej w chwili, gdy siadała na stopniach werandy. Widać było, że jest znużona.

— Chwilka odpoczynku? — zapytał. — Na Boga, zasłużyliśmy oboje na dobry, *długi* odpoczynek po tem wszystkiem! Gdybyśmy mieli na to, tobyśmy sobie pojechali do jakiego małego, cichego sanatorium w górach i... — Przestał mówić, spojrzał w kierunku bramy, i na twarzy ukazał mu się wyraz dawnej goryczy. Ścieżką od bramy podążała wspaniała młodzieńcza postać spóźnionego gościa.

— Spójrzij na to! — rzekł szeptem pan Parcher. — Spójrzij no tylko na to!

— Na co mam spojrzeć? — zapytała żona.

— To chłopak Baxterów! — rzekł pan Parcher, gdy Wilhelm przeszedł obok, idąc ku tańczącym,—

Kogóż on naśladowe według swego zdania—Henryka Irvinga? Spójrzj na jego chód!

— Zauważyłam, że on w ostatnich czasach często tak chodzi — rzekła zmęczonym głosem pani Parcher. — Tak samo chodzi Józio Bullit i...

— Nawet nie podszedł, żeby się z tobą przywitać — przerwał pan Parcher. — I mówić tu dziś o *grzeczności* Ci młodzi...

— Nie widział nas.

— Przywykliśmy do tego — rzekł pan Parcher. — Żaden nas nie widzi. Wyszli dziury we wszystkich naszych wyplatanych krzesłach, przewrócili do góry nogami cały dom; przez trzy miesiące nie mogłem zejść nadół i usiąść gdziekolwiek, żeby nie przysiąść którego, psiakrew! chłopaka; a oni nawet nie wiedzą, że my żyjemy! No, dzięki Bogu! skończy się to jutro! — Zadumał się. — Ten chłopak Baxterów był najgorszy, dopóki nie zaczął przychodzić w dzień, gdy ja byłem w mieście. Nie *mógłbym* tego znieść, gdyby w dalszym ciągu przychodził wieczorami. Gdybym był musiał przysłuchiwać się dłużej jego bredniom i śpiewom, to z wszelką pewnością wyjechałbym na cmentarz albo do szpitala warjatów! Widzę, że na dzisiejszy wieczór zawładnął znów frakowym garniturem swego tatuńcia.

— Czy to frak pana Baxtera? — zapytała pani Parcher. — Skąd ty o tem wiesz?

Pan Parcher uśmiechnął się.

— Jak się o tem dowiedziałem, to sekret —

rzekł. — Zapomniałem o tem. Jego mała siostrzyczka, Janeczka, powiedziała mi, że pani Baxter schowała go czy coś takiego, żeby Wilus nie mógł się ubrać, ale przypuszczam, że Janeczka nie miałaby nic przeciwko temu, żebym to *tobie* powiedział — zwłaszcza, że dziś znowu pozwolili mu ubrać się w niego. Przypuszczam, że w tym stroju czuje się większy niż król sjamski!

— Nie — odparła wolno pani Parcher. — Nie sędzę, żeby się w tej chwili czuł wielkim. — Utkwiła wzrok na platformie, która się właśnie zaczęła opróżniać z powodu chwilowej przerwy w muzyce. Na środku platformy pozostała grupa, złożona z panny Pratt i pięciu mówców, z których najbardziej rozgestykulowanym i roznamiętnionym był Wilhelm.

— Zdaje się, że wszyscy chcą tańczyć z nią przez cały czas — rzekła pani Parcher. — Słyszałam, jak półgodziny temu mówiła do jednego z chłopców, że może mu tylko obiecać albo dwudziesty ósmy taniec, albo szesnasty „extra“.

— Który? — zapytał pan Parcher, szybko się do niej wykręcając. — Czy oni myślą, że ta zabawa będzie trwała do pojutrze? — Poczem, skierowując znów wzrok na grupę na platformie, zauważył pod adresem Wilhelma: — Chłopak, zdaje się, dostał ataku szału wskutek gwałtownego wzruszenia. Co *mu* się stało?

— Och, nic — odrzekła żona. — Próbuje tylko

wyjednać sobie u niej taniec. Zdaje się, że ma jakieś trudności.

IX

PANNA BOKE

Trudno było o coś widoczniejszego niż to, że Wilhelm był w kłopotcie. Było też równie widoczne, że kłopot ten nie został załatwiony, kiedy grupa po kilku minutach ożywionej dyskusji rozbiła się wśród pewnego zamieszania; pan Wal Banks, czynny i przedsiębiorczy młodzieniec, poprowadził triumfalnie pannę Pratt do stoliczka z limonjadą, podczas gdy Wilhelm pogonił za Jankiem Watsonem i Józiem Bullitem. Starał się ich przytrzymać na skraju platformy, chociaż oni bynajmniej nie okazywali, że spragnieni są jego towarzystwa, to też zwrócił na siebie ich uwagę, dopiero pochwyciwszy każdego za ramię. W samej rzeczy zanosilo się na to, że dobre stosunki, jakie ostatnio panowały między tą trójką, grożą popsuć się na dobre. Okoliczności były wyjątkowe i odzewem na hasło: „Ostatni wieczór panny Pratt”, było: „Nech djabli biorą Maruderów!”.

— Posłuchaj no, Janek — mówił gwałtownie Wilhelm — i ty, Józiu, też posłuchaj! Każdy z was dostał od niej po siedem tańców, w każdym razie, i to wszystko z tego powodu, że ja wcześniej nie przyszedłem i wy...

— To nie było wcale z tego powodu — protestował młody pan Watson. — Ja poprosiłem ją o te tańce dwa dni temu.

— A, więc *to* nie było honorowo czy nie? — krzyknął Wilhelm. — Dlatego, że mnie nie przyszło do głowy takie podejście, ty poszedłeś i...

— Ech, powinienesz być o tem pomyśleć — odciął się Janek, wyrywając szarpnięciem ramię z kleszczów Wilhelma. — Nie mogę tu stać i *gadać* przez całą noc! — I uciekł.

— Józiu — zaczął Wilhelm, przytrzymując pewnie pana Bullita — Józiu, ja ci oddałem wiele przysług i...

— Muszę się z kimś widzieć — przerwał pan Bullit. — Puść mnie, Silly Bill. — Jest tu ktoś, z kim się muszę widzieć przed następnym tańcem. *Muszę* słowo honoru, *muszę*!

Wac. Wilhelm porwał go zapalczywie za klapy kurtki.

— Słuchaj, Józiu! Czy nie możesz, na Boga, posłuchać mnie przez *minutę*? *Musisz* dać mi...

— Słowo, Bill — protestował przyjaciel, cofając się ze wszystkich sił. — Muszę iść poszukać jednego „gościa“, który tu jest, i zapytać go o coś ważnego, zanim...

— Piekło i szatani! Nie możesz zaczekać *minuty*? — krzyknął Wilhelm, nie puszczając kłap Józia. — *Musisz* mi, bądź co bądź, ustąpić *dwa* tańce z nią! Słyszałeś, jak sama do mnie mówiła, że chętnie się zgodzi, jeżeli ty, albo Janek, albo...

— Ja mam tylko obiecanych pięć czy sześć tańców i parę extra. Janek ma siedem. Dlaczego nie idziesz do Janka? Założę się, żeby ci ustąpił, gdybyś go bardzo poprosił. Dlaczego ty *mnie* dręczysz, Bill?

Brutalne samolubstwo tej przemowy jak również bezczelna nikczemność sprawiły, że Wilhelm o mało nie uderzył Józia. Na szczęście, jego jedyna nadzieja leżała w perswazji, to też po chwili udało mu się opanować rysy twarzy i ukryć intencje, jakie miał względem Józia.

Chrząknął i mocniej jeszcze, z serdeczną rozpaczą przytrzymał klapy pana Bullita.

— Józiu — zaczął chrapliwym głosem. — Józiu, jeżeli jabym miał obiecane od panny Pratt sześć tańców i dwa extra w jej ostatni wieczór, i tybyś przyszedł późno i toby nie była twoja wina — przecież to nie ode mnie zależało, żem się spóźnił. Przecież to nie była moja wina, żem się spóźnił! Przypuszczam, że nie. Więc gdybym był na *twojem* miejscu, to nie postąpiłbym tak, jak ty i Janek — ani przez tysiąc lat, nie! Powiedziałbym: „Chcesz, mój drogi, żebym ci ustąpił dwa z moich tańców z panną Pratt? Ależ *naturalnie*...”

— Tak powiedziałbyś! — rzucił cynicznie pan Bullit, którego odwrócona twarz i ściągnięte ramiona wskazywały na silne pragnienie zakończenia konferencji. — Zwłaszcza dziś! — dodał.

— Słuchaj, Józiu — rzekł z rozpaczą Wilhelm

— czy ty rozumiesz, że to jest najostatniejszy wieczór, jaki panna Pratt przepędza w tem mieście?

— Djabła tam nie wiem!—Te wyrazy, chociaż gwałtowne, nie były dosłyszalne; powstały w umyśle pana Bullita, ale z dyplomatycznych powodów nie zostały wyrzucone na zewnątrz za pośrednictwem jego organów głosowych.

Wilhelm ciągnął dalej:

— Józiu, byliśmy zawsze przyjaciółmi od czasu, jak byliśmy dziećmi!—Mówił ze wzruszeniem, ale na Józiu nie zdawało się to robić dodatniego wrażenia.— I kiedy patrzę wstecz—rzekł Wilhelm—to widzę, że wyrządziłem ci więcej przysług niż komukolwiek in...

Ale pan Bullit przerwał żywo to odwoływanie się do wspomnień.

— Słuchaj, Silly Bill—rzekł, stając się ni z tego, ni z owego przyjacielskim i zachęcającym. — Bill, tu są inne dziewczęta, z którymi możesz tańczyć. Jedna czy dwie siedzą na dziedzińcu. Możesz się byczo ubawić, chociaż późno przyszedłeś.—I z miną szczęśliwego wypłacenia się ze wszelkich zobowiązań, o których wspominał Wilhelm, dodał: — *Tyle ci mówię, Bill!*

— Józiu, musisz mi odstąpić chociaż *jeden* ta...

— Patrz! — rzekł skwapliwie pan Bullit. — Patrz, siedzi tam sama pod tamtem drzewem! To jest nietutejsza panna, nazywa się panna Boke; przyjechała tu z wizytą do jakiegoś starego wuja czy też kogoś innego, i założę się, że mógłbyś...

— Józiu, *musisz*...

— Założę się, że panna Boke dobrze tańczy, Bill — ciągnął gorąco Józio. — Mówiła Marysia Parcher. Chciała, żebym sam z nią tańczył, ale nie mogłem, a byłbym tańczył. Słowo, Bill, byłbym tańczył Bill, gdybym był tobą, tobym od razu do niej poleciał, zanim mnie kto uprzedzi, i...

— Mój kochany — rzekł łagodnie Wilhelm — czy pamiętasz, jak raz miałem iść na spacer z panną Pratt, i ty byłbyś jej nie widział przez cały tydzień z tego powodu, że twoja ciotka umierała w Kansas City, gdybym ci nie pozwolił iść razem z nami? Mój drogi, jeżeli ty...

Ale muzyka zaczęła grać do następnego tańca, i Józio poczuł, że już najwyższy czas skończyć tę nieprzyjemną rozmowę. — Muszę iść, Bill — rzekł. — *Muszę iść!*

— Poczekaj minutę — błagał Wilhelm. — Tylko tyle chcę powiedzieć: jeżeli...

— Ech! — krzyknął pan Bullit. — *Muszę iść!*

— Wiem. I dlatego...

Nie zważając na słowa przyjaciela, Józio wyrwał mu się z rąk, gdyż doprawdy potrzeba było silnego i bezwzględnego człowieka, żeby go dłużej przytrzymać. — Mam tańczyć z panną Pratt!

I unikając ręki, która starała się go jeszcze przychwycić, odbiegł, cały czerwony.

Trochę później w głosie pana Parchera zabrzmiało zdumienie, kiedy polecił żonie raz jeszcze rzucić okiem na „chłopca Baxterów”. — „Spójrz-ne

na niego!" — rzekł pan Parcher. — W jego twarzy jest więcej autentycznego idjotyzmu, niżem to do-
tychczas wokoło siebie zaobserwował, a Bóg wie,
że co się tego tyczy, to tego lata widziałem cudal

— Patrzy na Lolę Pratt — rzekła pani Parcher.

— Czy myślisz, że tego nie widzę? — odparł
z pewną irytacją pan Parcher. — To jest właśnie
cała bieda. Dlaczegoż on nie *przestanie* się na nią
gapić?

— Myślę, że prawdopodobnie czuje się źle, bo
ona tańczy z innym chłopcem — rzekła miękko
żona.

— Więc dlaczego sam z kim innym nie zatań-
czy? — zapytał gniewnie pan Parcher. — Zamiast
sterczeć i gapić się jak ciele, wyglądające z wozu
rzeźnika! Na Boga! Wygląda tak, jakby miał
beczeć!

— Naturalnie powinien z kimś tańczyć — zauwa-
żyła poważnie pani Parcher. — Jest tu o jedną czy
dwie więcej dziewcząt niż chłopców, i on jest je-
dynym chłopcem, który nie tańczy. Przypuszczam,
że zrobię... — I nie kończąc zdania, wstała i przez
skrawek trawnika koło platformy poszła do Wil-
helma. — Dobry wieczór, Wilhelmie; — rzekła uprzej-
mie. — Czy nie chcesz tańczyć?

— Słucham panią? — odparł nieprzytomnie Wil-
helm, zwracając na nią szkliste z niepokoju oczy.
W dalszym ciągu zdecydowany był tańczyć, tań-
czyć, tańczyć z panną Pratt, ale rozumiał, że

przed rozpoczęciem tej czynności miał do przezwyciężenia wielkie przeszkody. Gorączkowo oczekiwał następnej przerwy między tańcami—och, pokaże wtedy i Józiowi Bullitowi, i Jankowi Watsonowi, i Walowi Banksowi, i kilku innym, którzy weszli mu w drogę, że „absolutnie tego nie zniesiel”

Powiedział sobie, że nie mógłby tego zniesić, nawet—gdyby chciał—nie dzisiaj! Dosyć „przeszedł” celem umożliwienia sobie wzięcia udziału w zabawie—myślał, określając w ten sposób cierpienia, związane ze zdobyciem garnituru frakowego, i teraz, kiedy się tu raz dostał, *będzie* tańczył, tańczył, tańczył, tańczył z panną Pratt. Coś innego było nie do pomyślenia.

Musią!

— Czy nie chcesz tańczyć?—powtórzyła pani Parcher.—Czy nie rozejrzałeś się, czy która z pańienek nie ma dansera?

Zagapił się na nią, najwidoczniej nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Panienka?—zawtórował tonem pół-pytania.

Uśmiechnęła się i, skinąwszy głową, ujęła go pod ramię—Chodź ze mną—rzekła—ja ci znajdę tancerkę.

Wilhelm pozwolił się poprowadzić przez dziedziniec. Intensywnie zaabsorbowany myślą o tem, co robi, jak tylko muzyka przestanie grać, był **niedoświadczony**, ale gdy spostrzegł, że go wie-

dą ku panience, siedzącej samotnie pod jednym z klonów, nagły spazm strachu ocucił go z odrętwienia.

— Co... — gdzie... — wyjąkał, zatrzymując się i usiłując wyrwać się pani domu.

— Co takiego? — zapytała.

— Ja mu... ja muszę — zaczął niespokojnie Wilhelm. — Ja muszę...

Miał zamiar przeprosić ją i odejść, usprawiedliwiając się, że musi kogoś poszukać i powiedzieć mu coś ważnego przed następnymi tańcami, gdyż w tej ciężkiej chwili władze umysłowe nie pozwoliły mu się zdobyć na większą oryginalność. Ale istotna część jego zamierzonego usprawiedliwienia pozostała niewypowiedziana, zignorowana i udaremniona jak miliony innych męskich dyplomatycznych zabiegów przez stulecia i stulecia skutkiem stanowczej interwencji kobiecej.

Panna Boke siedziała długo pod klonowem drzewem — tak doprawdy długo, że zaczął ją ogarniać głęboki niesmak do leśnictwa, a nawet do klonowego syropu. W samej rzeczy była na swój sposób w tak rozpaczliwym nastroju, jak i Wilhelm. Kiedy pani domu prowadzi młodzieńca (w prawie bez zarzutu leżącej konwencjonalnej czerni) ku pannie, która siedziała opuszczona przez cały szereg tańców, to wie ona dobrze, co ten młodzieniec musi zrobić.

Trzeba wyznać, że oczy panny Boke utkwi-

ne były w Wilhelma od chwili, gdy pani Parcher doń podeszła. Jednakże, gdy oboje skierowali się do miejsca, gdzie siedziała, udała, że patrzy obojętnie i przypadkowo w inną stronę. Ale mogła to być tylko pozorna nieświadomość, gdyż w tej samej chwili, gdy Wilhelm stanął i, zanim jeszcze zdążył wybełkotać: — „Ja muszę...” — po raz czwarty, panna Boke skoczyła na równe nogi i podbiegła ku pani Parcher.

— Och, proszę pani! — zawołała.

— Ja muszę... — zaczął znów pośpiesznie przerażony Wilhelm. — Ja muszę...

— Och, proszę pani! — krzyknęła panna Boke. — *Taka* byłam zmartwiona! W tej japońskiej latarni nad pani głową jest świeca, i ja myślę, że gaśnie.

— Pójdę i za chwilę przyniosę drugą! — rzekła pani Parcher, uśmiechając się przyjaźnie i przytrzymując z niejaką trudnością ramię Wilhelma. — Właśnie szukaliśmy pani. Przyprowadziłam...

— Ja muszę... ja muszę się z kimś zo... — zrobił ostatni, daremny wysilek Wilhelm.

— Przedstawiam pani pana Baxtera — rzekła pani Parcher i dodała jeszcze parę słów, co wydało się Wilhelmowi wstrętą gadatliwością. — Oboje spóźniliście się trochę, moja droga, i on też nie ma zamówionych tańców. Więc idźcie teraz tańczyć i dobrze się bawcie.

Potem fatalna kobieta powróciła do męża. Mia-

ła minę człowieka, który spełnił obowiązek; myślała, że zrobiła coś miłego.

Wilhelm uświadomił sobie całą okropność sytuacji, gdy ujrzał pełen ulgi i ufności, zwycięski uśmiech panny Boke. Wilhelm żył podług kodeksu, z pod którego poprzednie doświadczenie nie nauczyło go wyłamywać się w ten czy inny sposób. Pani Parcher stwierdziła z niepotrzebną i zabójczą szczerością, że nie miał żadnych tanecznych zobowiązań, i przerażony, nie był w stanie zaprzeczyć fatalnej prawdzie; był zmuszony pogodzić się z sytuacją. Odtąd skazany był absolutnie na towarzysztwo panny Boke, chyba, żeby ją kto inny poprosił do tańca, albo (będąc do niej w ten sposób przykuty) chyba, żeby jemu samemu udało się zaprosić do tańca kogo innego. Ostatnia alternatywa przedstawiała pewne poważne trudności, gdyż zobowiązywałaby go do zatańczenia z inną panną przed wydarciem się na wolność, ale bezsprzecznie od pierwszej chwili uważał ją za możliwszą niż pierwszą.

Musiał sformułować fatalne zaproszenie. — Czy mogę panią prosić? — mruknął niechętnie.

— Z przyjemnością. — odpowiedziała panna Boke, wobec czego poszli w milczeniu ku platformie, weszli na nią i wzięli się w objęcia.

Spróbowali tańczyć: źle!

Spróbowali po raz drugi.

Stanęli, kołysząc się, by złapać tempo; znów

spróbowali. Znów ponowili próbę i tym razem uniknęli upadku tylko dzięki konwulsyjnym, rzucającym się w oczy sztuczkom akrobatycznym.

Panna Boke roześmiała się pobłaźliwie, jakgdyby przebacząc Wilhelmu jego niezręczność. Na tę niesprawiedliwość jego gorące serce rozgorzało jeszcze bardziej. Była to duża, rozłożysta dziewczyna, ważąca więcej niż Wilhelm (trzeba to z miejsca stwierdzić na jego usprawiedliwienie). Lato spędzała w hotelu, nad jeziorem, gdzie stale tańczyła, „jako mężczyzna”. Krótko mówiąc, położenie Wilhelma przedstawiało się, jak następuje: jego partnerka tańczyła raczej z determinacją niż wdziękiem — i ich wspólne wysiłki celem dostosowania się do siebie nawzajem i do muzyki były tego rodzaju, że ściągnęły na nich ogólną uwagę.

Szorstki chichot, niby nawpół zduszone parsknięcie, uderzył w szkarłatne ucho Wilhelma. Kątem oka dostrzegł przelotnie przesuwał się roześmianego Józia Bullita, podczas gdy nad jego nienawistnem ramieniem, mignęła cudna, złośliwa twarzyczka Jedynej Dziewczyny — również roześmiana.

— Niech to licha weźmie! — zasapał Wilhelm.

— Och, nie trzeba, żeby się pan zniechęcał — rzekła żywo panna Boke. — Znam masę Mężczyzn, którym trudno było ruszyć z miejsca, a potem okazali się świetnymi tancerzami. Zdaje mi się, że my się poprostu z sobą mocujemy. Powiadam pa-

nu—niech mi się pan pozwoli prowadzić, to będzie dobrze. No! *Raz, dwa, raz, dwa, Dobrze!*

Wilhelm przestał walczyć o kierownictwo, i ich wysiłki celem „ruszenia z miejsca”, zostały uwiecznione natychmiastowym skutkiem. Z zadziwiającą siłą mięśni panna Boke porwała go w wir tańca, kręciła nim wkoło, potem przeleciała przez pół platformy, pchając go tyłem przed sobą, i znów kręciła nim wkoło, wkoło, wkoło. Jak na dziewczynę, „prowadziła” doskonale, jednakowoż posuwanie się tej pary po zatłoczonej nieco platformie znaczyło się serją zderzeń, silniejszych i słabszych. W takich razach zręcznie posługiwała się Wilhelmem jako buforem, tak, że kilkakrotnie został niespodziewanie silnie uderzony ztyłu; to znów twarz jego zostawała nagle przyciśnięta do włosów panny Boke, tak, że się aż dusił. Coprawda wcale sobie tego zbliżenia nie życzył. Doznawał uczucia bezradności, najzupełniej usprawiedliwionej przez okoliczności. Niebawem zauważył również, że obecni obserwują potężne „prowadzenie” panny Boke, gdyż po jednym zderzeniu, niebezpieczniejszem niż poprzedzające, niski głos zasyczał mu do ucha;

— *Nie robi ci wielkiej krzywdy, Silly Bill. Ona tylko żartuje!*

Był to głos tancerza, z którym właśnie miała miejsce bolesna kolizja—Jankiem Watsonem. Je-

dnakże, nim Wilhelm zdobył się na odpowiedź i to słabą, Janek znalazł się już w wirze innej orbity.

— Chciałbym, żebyś *ty* spróbował z nią zatańczyć!—szepnął niedosłyszalnie, ale z bezprzykładną goryczą, kiedy mocarne ramię partnerki uratowało go w ostatniej chwili od spadnięcia z platformy.— Złożę się, żeby cię zabiła!

Więcej niż raz próbował się wyłamać z pod jej tyranji i zająć naturalną pozycję prowadzącego, ale za każdym razem tracił odrazu tempo, zaczynał ambarasująco uderzać kolanami o kolana danserki i deptać ją po nogach, tak, że chcąc, nie chcąc, zmuszony był zaprzestać nierównej walki.

— Kocham taniec! — rzekła pogodnie panna Boke.—A pan, panie Baxter?

— Co?—jęknął.—Tak.

— Cudowna posadzka do tańca, nieprawdaż?

— Tak.

— Kocham taniec—uznała raz jeszcze za stosowne zaznaczyć panna Boke.

— A pan nie kocha, panie Baxter?

Tym razem uważał, że skinienie będzie dostatecznem zaznaczeniem jego entuzjazmu w tym względzie. Potrzebował wszystkiego tchu, żeby podolać partnerce.

— Cudownie—zaszeptała.—Spodziewam się, że na zabawach w tem mieście nie grają bardzo wczere-

śnie „Home, Sweet Home”. Mogłabym tak tańczyć calutką noc!

Zadyszanemu Wilhelmowi wydawało się, że już tańczyli całą noc, to też, kiedy muzyka przestała grać, wydał wielki, szczery, głęboki jęk ulgi.—Ci muzykanci chyba tego nie przeżyją!—rzekł, wycierając czoło. Poczem, spostrzegłszy, że obok niego stoi Marysia Parcher, zwrócił się do niej pośpiesznie.—Mogę prosić o następny taniec?

Ale panna Parcher zaczęła klaskać na muzykantów o encore. Patrzała głową.—Następny jest trzeci extra—rzekła.—I w każdym razie ten będzie jeszcze powtórzony. Mogę panu przyrzec dwudziesty drugi—jeżeli wogóle *będzie!*

Wilhelm rzucił wokoło dzikie spojrzenie, szukając innych panien, ale niezmordowana orkiestra zaczęła grać encore, i panna Boke, która biła okłaski, momentalnie rzuciła mu się w ramiona.—Dalej—zakrzyczała.—Nie opuszczajmy ani sekundy. To poprostu wspaniałe!

Kiedy się skończyło encore, porwała Wilhelma pod ramię, mówiąc, że zostawiła wachlarz na krześle pod klonem, poczem dodała:—Niech pan idzie! Chodźmy po niego *prędko!*

Pod klonem wachlowała się i mówiła o swej miłości do tańca, dopóki ponownie nie zagrano.—Niech pan idzie!—zawołała.—Nie opuszczajmy ani sekundy. To poprostu wspaniałe.

I porwawszy go za rękę, pchnęła go wesółym gestem ku platformie.

Tak przeszło pięć długich, długich tańców.

I jeszcze pięć „encore.” Długich „encore”.

X

OPUSZCZONY

Przy każdej możliwej okazji Wilhelm zwracał się do innych dziewcząt z pośpiesznem:—Czy mogę panią prosić do następnego tańca?—ale doprawdy, było to prawdziwe nieszczęście, że tak późno przyszedł.

Zyskał tylko tyle, że mu obiecano „dziewiętnasty taniec—jeżeli taki *będzie!*”

Po każdym tańcu panna Boke prowadziła go zpowrotem pod klonowe drzewo, zdała od całego towarzystwa. Te przerwy były dla Wilhelma prawie tak samo ciężkie do zniesienia, jak męczeństwo na platformie. Ale ponieważ była pewna, za ledwie dostrzegalna różnica, przemawiająca na korzyść pauz, przeto zdołał zebrać parę szczątków stłuczonego ducha, i kiedy panna Boke chciała go unieść po raz szósty na platformę, poprosił ją, by „ten taniec przesiedzieć,” twierdząc, że „nadwyreżył nogę w kostce czy coś takiego,” jak mu się zdaje.

Serdeczna dziewczyna ulokowała go odrazu z galanterią na krześle i postarała się o drugie

dla siebie. W swej troskliwości usiadła bardzo blisko niego, patrząc mu czule w twarz, podczas gdy Wilhelm, chociaż od czasu do czasu tarł kostkę dla większego prawdopodobieństwa, nie spuszczał oczu z platformy z wyrazem, który natchnąłby z pewnością Gustawa Doré. Wilhelm zdawał sobie sprawę, że w jego pobliżu czyjś język był w bezustannym ruchu, ale nie chwycił treści słów. Panna Boke opowiadała mu o tańcach „nad jeziozem”, gdzie spędziła lato, o tem, jak przepadała za tańcem, ale Wilhelm nic nie słyszał. Na kolorowej platformie czarująca Jedyna fruwała w prawo i w lewo, naprzód i wtył; jej mała blond główka w złotej siatce jaśniała to tu, to tam niby kawałeczek szychu, unoszonego wietrzykiem wśród kwietnych klombów.

Kiedy skończył się wreszcie taniec i „encore”, poszła oprzeć się o drzewo w towarzystwie wachlującego ją Wala Banksa, ale tak była zajęta swym asystentem, że nie zauważyła Wilhelma, chociaż przeszła tak blisko, że podmuch fiołkowych perfum doleciał do jego bladego nosa. W uszach zadzwonił mu fragment jej srebrzystego szczebiotu.

— O, Wali Banks! Nie można zabierać tańca Kluskowi—Józwie—Józikowi, chyba, że sam pozwoli. Lola musi być sprawiedliwa. Wali musi...

— To ta panna Pratt—zauważyła panna Boke, idąc z pewnem zainteresowaniem za wzrokiem Wilhelma.—Czy pan ją zna?

— Taak—rzekł Wilhelm.

— Bawi tu przez całe lato—po'nformowała go panna Boke. — Byłam dziś po południu na małej herbatce i słyszałam, jak kilka panien mówiło, co mówiła ta panna Pratt. Ona powiedziała, że ani jej się nie *śni* zaręczać się z człowiekiem, nie mającym siedmuset pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Nie wiem, czy to prawda, czy nie, ale sądzę, że tak. W każdym razie mówią, że słyszały, jak tak mówiła.

Wilhelm odjął prawą rękę od kostki i począł nią wodzić po mokrem czole. Nie wierzył, żeby panna Pratt mogła być do tego stopnia interesowna, ale jeżeli *była* — no... jeden fakt z historii Anglii zrobił na nim takie wrażenie, że go nawet po egzaminie nie zapomniał: mianowicie, że Wilhelm Pitt Młodszy został premierem, mając dwadzieścia jeden lat.

Jeżeli Anglik mógł dokonać takiej rzeczy, to z pewnością świetny, energiczny, młody Amerykanin nie powinien dręczyć się o siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów! I chociaż Wilhelm, mając lat siedemnaście, rzadko posiadał więcej niż siedemset pięćdziesiąt centów, to przecież cztery długie lata dzieliły go od wieku, w którym Wilhelm Pitt został premierem — jednocześnie będącego dobrym, dojrzałym matrymonjalnym wiekiem, i w ciągu tego czasu dużo można zrobić. Jednakowoż siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, to

wcale nie żarty, nawet jeżeli się ma do rozporządzenia cztery długie lata i niewątpliwie ploteczka panny Boke powiększyła jeszcze i tak już dostateczne strapienia Wilhelma, których mu tego wieczora nie brakło.

— Nad jeziorem—gawędziła panna Boke—urządzaliśmy tańce, w jadalni hotelowej. Tam jest posadzka bardzo podobna do tej—właśnie w sam raz śliska; pyszna, najlepsza, na jakiej tańczyłam. Świetnieśmy się tam nad jeziorem bawili. Naturalnie, niema tam tak dużo Mężczyzn, jak dzisiaj tutaj, i *muszę* powiedzieć, że *rada* jestem z tej okazji, bo mogę znów zatańczyć z Mężczyzną! A powiedziałam, że będzie pan dobrze tańczył, jak tylko raz ruszymy z miejsca i prawda? jak dobrze idzie, zgadzamy się wspaniale! Jeżeli *muszę* to powiedzieć, to nie wiem, czy mam *jakiego* znajomego, z którymbym chętniej tańczyła niż z panem. Kiedy czyjś krok zgadza się z moim w ten sposób, to pasjami lubię tańczyć przez cały wieczór z jedną osobą, tak, jak my to robimy.

Przejęty uczuciem silnego wstrętu Wilhelm począł się niejasno orientować, że panna Boke pod wpływem tego nieskończonego, przymusowego z jego strony trzymania się razem zaczęła nabierać dla niego sympatji. I kiedy tak gawędziła po koleżeńsku, zdradzając się ze wzrastającą serdecznością—choć najbardziej rzucającemi się w oczy tematami były tańce, posadzki i „jeziorko”—w piersi

Wilhelma, jako reakcja, budziło się uczucie Sindbada żeglarza — dla Starego Morskiego Człowieka.

Nie mógł już wyobrazić sobie przyszłości bez niej, i kiedy poinformowała go, że wolała jego styl w tańcu, niż manierę wszystkich innych Mężczyzn, obecnych na zabawie, to wyróżnienie go w ten sposób podkreśliło jeszcze w jego umyśle sprawę, która go najbardziej rozgoryczała.

— Tak! — rozmyślał. — To musiałem być właśnie *ja!* Mogąc wybierać z takiej gromady, pani Parcher musiała wybrać właśnie *jego!* Wszyscy, wszyscy inni byli swobodni jak ptaki, fruwali od jednej do drugiej — tańczyli z dziewczętami, które tańczyły jak dziewczęta. Wszyscy, wszyscy z wyjątkiem Wilhelma tańczyli z panną *Pratt!* Panna Pratt dała mu jedynie do wyboru trzydziesty drugi taniec i dwudziesty pierwszy „extra”. Tego się tylko mógł spodziewać: trzydziestego drugiego albo dwudziestego pierwszego extra!

Tymczasem, poprostu na wieczność, został skuty z panną Boke.

Węzeł, który ich łączył, dręczył go jak niedobre małżeństwo; siedział przy niej niby niechętny, stary małżonek. Przez cały ten czas panna Boke nie zdawała sobie wcale sprawy z rzeczywistego stanu towarzysza, i kiedy na jego twarzy ukazywały się przelotnie konwulsyjne, złowróżbne drgawki (to nie ulegało wątpliwości), przypisywała je rwaniu w kostce. Jednakowoż, kiedy z tego

powodu „przesiedzieli” dwa tańce, Wilhelm zdecydował się dać pokój kostce. Zdecydował, że lepiej będzie tańczyć, i powiedział, że zdaje się, czuje się lepiej.

Więc znów tańczyli — tańczyli.

Kiedy przyszedł czternasty taniec na jakie pół godziny przed północą, jeszcze ze sobą tańczyli.

Właśnie gdy skończył się czternasty taniec, pan Parcher powiedział żonie, że w uczuciach jego względem Wilhelma nastąpiła zmiana.

— Obserwowałem go — rzekł pan Parcher — i nigdy w żadnej twarzy nie widziałem takiego prawdziwego wyrazu nieszczęścia. On się doprawdy strasznie czuje. Na Boga! Nienawidzę go, a zaczyna mi go być żal. Nie mogłabyś tam kogo podstawić, żeby go uwolnić od tej tłustej dziewczyny?

Pani Parcher potrząsnęła głową z gestem zniechęcenia.

— Próbowałam, i próbowałam, i próbowałam! — rzekła.

— Spróbuj jeszcze raz.

— Teraz nie mogę. — Machnęła ręką w kierunku tyłu domu. Z za węgła maszerowała krótka procesja murzynów, niosących tace; tancerze rozproszyli się po trawniku, zastawionym krzesłami, by coś przekąsić.

— Zrób-że co — настаwał pan Parcher. — Nie chcę, żebyśmy go z rana znaleźli w cysternie!

Pani Parcher zamyśliła się, i nagle twarz jej się

rozjaśniła.—Wiem!—rzekła.—Przyprowadzę Marysię, Lolę i ich danserów do tego małego kręgu krzesel, a potem pójdę po Wilhelma i pannę Boke, żeby się do nich przyłączyli. Posadzę Wilhelma z lewej strony przy Loli. Pilnuj krzesel!

Pośpieszyła odrazu wprowadzić w czyn to miłosierne zamierzenie. Udało jej się to tak dalece, że bez najmniejszego wysiłku — nawet bez żadnej aluzji ze swej strony — sprowadziła nie tylko Wilhelma i jego stałą towarzyszkę do kółka panny Pratt, Marysi Parcher i ich świty, ale nadto pana Bullita, pana Watsona, pana Banksa i jeszcze trzech innych młodych dżentelmenów. Jednakowoż pan Parcher przeprowadził swój plan i, okazawszy pewną małą nieugiętość, usadowiła ku swemu zadowoleniu Wilhelma na krześle z lewej strony panny Pratt.

Wreszcie, wreszcie zasiadł obok czarodziejskiego stworzenia i napełnił płuca subtelnymi cząsteczkami fiołkowych perfum. Więcej: zaledwie zdążył usiąść, kiedy mała blond główka pochyliła się blisko ku jego głowie i złota siatka musnęła mu policzek. Szepnęła:

— Niegłęboki, maly chłopiec Batster! Ostatni wiecól Loli i maly chłopiec Batster fliltuje! Fliltuje pzez całą noc z wielką głubą dziewczyną!

Wilhelm nie odpowiedział.

Są okoliczności, nie częste, ma się rozumieć, kiedy nawet kawaler nie uważa za pochlebny za-

rzut, że flirtuje. Uczucia Wilhelma względem panny Pratt doszły w danej chwili do takiego stadjum, że oskarżenie go o flirt z masywną panną uznał za prawie równoznaczne z posądzeniem o poważne zboczenie umysłowe. I dobrze też pamiętał, jak panna Pratt poczerwieniała od śmiechu na widok jego dyskretnych taneczno-gimnastycznych popisów. Ale różane usteczka szeptały w dalszym ciągu.

— Lola widziała. Lola widziała, jak zły chłopiec Batster flirtował pod wielkiem, głębem dżewem z wielką, głębą dziewczyną. Flirtował całą, całą noc z wielką, głębą, olbzymią dziewczyną!

Okrucieństwo jej było w zupełności bezwiedne. Zamierzała tylko pożartować z niego słodko. Ale, siedemnastoletni „mężczyźni” są w takich chwilach śmiertelnie serjo nastroszeni, a Wilhelm był w stanie szczególnej wrażliwości. Nie odpowiedział słowami, ale zato wyprostował się (t. j. od pasa, gdyż znajdował się w pozycji siedzącej) z pewną dumną godnością. I to było wszystko.

— Gniewa się? — szepnęła Lola.

Nie odpowiedział.

— To nie moja wina z temi tańcami — rzekła. — Niedobry chłopczel! Dlaczego się tak spóźniłeś?

Trwał w milczeniu i w lodowatej wyniosłości, wobec czego zrobiła czarujący grymasik różową buzią.

— Tak się gniewał—rzekła.—Lola będzie gwał-
żyć z gzecnym panem po długiej stłonie!

Z temi słowy odwróciła się doń plecami i zaczęła wesoło szczebiotać z siedzącym po prawej stronie szesnastoletnim dżentelmenem.

Wilhelm siedział cichy i chłodny. Niech szczebiocze z panem po drugiej stronie, jak chce i nie wiem jak wesoło — Wilhelm wiedział, że ani na chwilę nie opuszczała jej świadomość jego działającej jak niemy wyrzut obecności po lewej ręce. I jakimś sposobem te momenty spokojnej i melancholijnej godności były najlepszymi, jakie przeżył tego wieczoru. Gdyż kiedy tak siedział, milczący i surowy, nie zaczynając jeść, chociaż na kolanach postawiono mu talerz z zimnem kurczęciem, zaczął czuć w sobie jakąś tajemniczą wyższość, wyodrębniającą go od otoczenia i wynoszącą ponad wszystkich. Ta nieokreślona wzniosła właściwość sprawiła, że tej nocy przeniósł okropności, któreby zwichnęły życia takich prostaczków, jak Józio Bullit i Janek Watson. I chociaż panna Prat nie przestawała flirtować z Mężczyzną z prawej strony, to jednak zdawało się Wilhelmu, że to tylko gra czysto powierzchowna. Miał dziwne, subtelne wrażenie, że tajemnicza wyższość, która go wyróżniała z pośród innych, stawała się dla niej dostrzegalna—że i ona ją odczuwała.

Niestety! Z takich momentów korzysta zazwyczaj Los, by zagrać w błazna!

Nad gwarem i śmiechem gości zabrzmiał nagle aż nadto dobrze znany dźwięk głosu.

— Pani pozwolić kanapka dobra z ozorem. Nie? A dobry zielony салатka?

Genezis!

— Dobry kanapka — ozór, panie? Pani pozwolić салатka? — wykrzykiwał może trochę za głośno, tak, jakby niósł kanapki na sprzedaż. — Pani pozwolić położyć sobie na talerzyk ten zielona dobry салатka kanapka!

Jego szeroko rozpostarta łapa niosła wysoko w górę tacę z kanapkami, gdyż zadanie lokaja pojmował dekoracyjnie, jakkolwiek kulturalnie. Szedł zlekka suwającem, niby tanecznem pas, giętki i pompatyczny, stosownie do wrodzonego poczucia estetycznego, które kazało mu się dostrajać do uroczystych i modnych okazji. Jego maniery były wyrazem najwyższego, uprzejmego wdzięku, ale wdzięk ten był niewinnością, gdyż był jedynie powierzchowną afektacją — wewnętrznie Genezis był pokorny. Udawał tylko takiego lokaja, jakim pragnął być.

A ponieważ był świeżo upieczonym lokajem, więc z całej duszy chciał okazać, że zna doskonale swoje obowiązki — co się w praktyce równało poufałemu traktowaniu wszystkiego i wszystkich. To pragnienie, zrodzone z niedowierzania sobie samemu i spotęgowane skutkiem łknięcia odrobiny jałowcówki, było bezwątpienia przyczyną je-

go przykrego zachowania się, gdy znalazł się w kole krzeseł, zajętych przez państwa Parcherów, pannę Parcher, pannę Pratt, pannę Boke, pana Watsona, pana Bullita i innych oraz Wilhelma.

— Dobra ozór kanapki, panil—oznajmił, stępując z gracją pod wysoko niesioną tacą. — Dobry zielona sałatka kana...—Ujrzawszy Wilhelma, siedzącego w gronie gości, w garniturze frakowym pana Baxtera, z wyrazem tej nowej, dziwnej godności, stanął nagle jak wryty. Moment był dramatyczny.

— Wszyscy świecił — wykrzyknął Genezis tak głośno, że wszyscy spojrzeli w górę. — Jaka sposób, na miła Bóg, *panicz* się tu dostać? Panicza tatulo, ja nie myśleć zmięknąć serce i dać ta biała kamizela, ta piękna spodni i ta piękna długa frak! Ja założyć z każda człowiek o pięćdziesiąt centy, że panicz iść i ukraść ta ubranie, jak on pójść do spać!

I wybuchnął dzikim, swobodnym, afrykańskim śmiechem.

Gdy się ma siedemnaście lat, takie rzeczy nie są kłopotliwe, lecz katastrofalne. Na szczęście, miłośniernym zbiegiem okoliczności katastrofy częstokroć wywołują w ofiarach odrętwienie. Bardziej w transie niż na jawie Wilhelm usłyszał wybuch śmiechu młodych towarzyszy i w ciągu kwadransa po popisie Genezisa co chwila wznawiające się eksplozje wesołości brzmiały w jego uszach jak straszliwe brzęczenie i nic więcej. Niby z wielkiej

oddali dochodziły chrząkania państwa Parcherów którzy z całej mocy usiłowali nad sobą zapanować ...Wesoła przygrywka niby pobudka uderzyła o uszy tancerzy. Na platformie ukazały się pary. Skończyła się straszliwa kolacja.

Czarująca Jedyna, w najwyższym stopniu różowa, wstała z krzesła koło Wilhelma i poszła ku platformie w towarzystwie gorejącego Józia Bullita. Ten widok obudził Wilhelma z odrętwienia; skoczył na równe nogi i zrobił krok w kierunku oddalającej się pary. Ale tylko jeden słaby krok.

Ciepła i szeroka ręka ujęła go silnie za łokieć.

— Zaczynamy odrazu, zanim się zrobi ciasno — rzekła panna Boke.

I panna Boke tańczyła z nim, tańczyła, tańczyła, tańczyła, tańczyła...

O wpół do drugiej orkiestra zagrała „Home, Sweet Home.” Kiedy przebrzmiały ostatnie akordy, grupa poważnych, młodych ludzi, która otaczała ślicznego honorowego gościa, gwałtownie rozprawiając, wybuchnęła głośniejszymi okrzykami i, wyściskawszy się pomiędzy sobą, rozbiegła się w indywidualnych podskokach po trawniku. Pan Parcher zdaleka dojrzał te manifestacje, a potem z głębszym jeszcze zdumieniem zobaczył tragicznego Wilhelma, biegnącego ku niemu z rozpromienioną twarzą — w głębi, daleko, widniała zdetonowana sylwetka panny Boke.

— Co znaczy ten hałas? — zapytał pan Parcher.

— Panna Pratt! — zadyszał Wilhelm. — Panna Pratt!

— Cóż takiego z panną Pratt?

I otrzymawszy odpowiedź Wilhelma, pân Parcher mógłby był, gdyby chciał, dostrzec za nią niewidzialną rękę ironicznej, lecz sprawiedliwej Opatrzności, wyrównującej wybujałości — biorącej od jednego, by dać drugiemu.

— Jeszcze zostanie! — wrzasnął szczęśliwy Wilhelm. — Obiecała zostać jeszcze tydzień!

I nagle razem z odgłosami radości wzbił się ku niebu rozpaczliwy okrzyk starszego pana, który ruszył naoslep ku domowi w poszukiwaniu żony.

XI

RANIA KIRSTED

Obserwując monotonnie poprawne zachowanie się słońca, człowiek wpadł na absurdalny pomysł i wynalazł czas. Stając się jeszcze bardziej absurdalnym, powiedział: — „Tyle i tyle czasu będzie stanowiło dzień; tyle i tyle — tydzień. Wszystkie tygodnie będą tej samej długości!” — Jednakowoż każde niemowlę rozumie, że tak nie jest! Jak długi dla Janka Watsona, dla Józia Bullita, dla Wala Banksa — jak długi dla Wilhelma Sylwana Baxtera był ostatni tydzień pobytu panny Pratt? Nikt na to nie odpowie. A jak długo ciągnął się ten tydzień dla pana Parchera? Któż odpowie na to zawrotne pytanie?

Naturalnie wielu ludzi uważało go za zwykły tydzień przeciętnej długości i do nich należała Janeczka.

Przez przeciąg tych siedmiu dni, które przyniosły domowi Baxterów parę naprzężonych momentów, Janeczka pozostała spokojna; spokojna była nawet ostatniego dnia z rana, stojąc na dziedzińcu rezydencji rodziców i przyglądając się z namiętnością temu, co się działo po drugiej stronie ulicy. Przedmiotem jej poważnego zainteresowania był duży, murowany dom, świeżo pomalowany po remoncie i rozszerzeniach, tak ekscytujących na zdolności Janeczki wynajdywania lepszych sposobów na zrobienie tego czy tego, że robotnicy z lekkim rozgoryczeniem nauczyli się tytułować ją „panią kierowniczką.”

Przez cały okres remontu aż do ukończenia malowania Janeczka uważała ten dom tak dobrze za swoją własność, jak i czyjąkolwiek inną; gdyż dzieci uważają za bezpieczeństwa wszelkie pustką stojące domy oraz domy w stadium budowy czy też gruntownej przebudowy. Nic przecież nie wskazuje na ewentualne pojawienie się mieszkańców z wyjątkiem mebli i to naintymniejszych mebli w poważnej ilości. Atoli taka wskazówka czy ostrzeżenie spadło na Janeczkę tego rana w postaci dwóch wozów meblowych, stojących tuż koło chodnika, odwróconych niegrzecznie tyłami ku murowanej budowlę; mężczyźni o potężnych organach głoso-

wych uwijali się tam i zpowrotem, zgięci pod ciężarem opasyłych foteli, mahoniowych stołów, składanych łóżek i koszy ze szkłem i porcelaną, podczas gdy w głównem miejscu ukazywała się od czasu do czasu jakaś znużona pani z gestem, wyrażającym lamentację i błaganie. Na chodniku, między wozami i bramą, widniała duża mokra plama, nieokreślenie okrągła, częściowo zaznaczona obwodem stłuczonego szkła i nieżywych złotych rybek.

Janeczka była zmuszona zakonkludować, że ostatecznie murowany dom był czyjąś własnością. To też pozostała na dziedzińcu rodzicielskiego domu w roli cierpliwego widza, w regularnych odstępach czasu doprowadzającego do organizmu niezbędne pożywienie. Działo się to w sposób doskonale automatyczny; w każdej ręce trzymała kawałek chleba, obficie posmarowanego masłem i marmoladą jabłkową z mialkim cukrem; ugryzłszy kawałek z prawej ręki, z wolna opuszczała ją nadół wraz z jej ciężarem, jednocześnie podnosząc lewą, która dosięgała jej ust dokładnie w tym momencie, kiedy wzdłuż przełyku przebiegało małe drgnienie, wskazując na to, że droga wolna. Dokonawszy tego, co do niej należało, lewa ręka opuszczała się nadół, a prawa jechała ponownie do góry. Przyzwyczajenie tak wytrenowało członki Janeczki, że ani razu nie spojrzała na żadną z wiernych rączek ani na zawarte w nich jedzenie; przez cały czas

swobodny jej wzrok spoczywał na domu naprzeciwko i rozkoszował się tem, co się przed nim odbywało. A działy się wielkie rzeczy.

Po chwili zaszło coś, co sprawiło, że oczy Janeczki otwarły się do ostatniej fizycznej możliwości. Nie, incydent był tak doniosły, że jej mechaniczne ręce przestały się poruszać i stanęły w powietrzu jak martwe, jedna na pół drogi do góry, druga na pół drogi nadół, jakgdyby wskutek nagłego zepsucia się motoru wewnątrz Janeczki. Jej usta doznały również porażenia i pozostały otwarte w widocznie krytycznym momencie dokonywania właściwych sobie funkcji. Te oznaki wzburzenia wywołał widok domu lalek, który wyładowywano właśnie z wnętrza jednego z wozów. Ten dom lalek miał przynajmniej pięć stóp wysokości i był proporcjonalnie szeroki i głęboki; zwyczajowy brak frontowej fasady ukazywał wnętrza czterech luksusowych pięter z klatkami schodowymi i tapetami. Była to budowla, w której musiały rezydować co najmniej księżniczki ze świata lalek.

Natychmiast z otwartych drzwi wejściowych murowanego domu wybiegła mała dziewczynka i z aroganckiem zrzędzeniem, w którym objawiało się jej wielkie wyobrażenie o swojej ważności, zaczęła wydawać rozkazy, dotyczące przeniesienia jej osobistej własności, obejmującej nietylko dom lalek, (jak najwyraźniej dała do zrozumienia), ale również i trzech walizek lalek i znacznej wielkości

paki z rzeczami. Była to mała, chuda dziewczynka, może o jakie pół roku młodsza niż Janeczka; tak brudna i umorusana, szczególnie, co się tyczy rąk, czoła, brody i kolan białych pończoszek, jak się tego można było spodziewać po wścibskiej osobce dziewięcio czy dziesięcioletniej, której matka przeprowadzała się do innego domu. Ale była obdarzona od natury, jeżeli zechcemy to wyrazić w taki obiecujący i miły sposób—była obdarzona niezwykle donośnym i dźwięcznym głosem; do takiego stopnia zagłuszała nawet silne, męskie głosy, że jeden z ludzi z pałacem lalek na plecach zatrzymał się w bramie, by zakomunikować jej swoją opinię, że ze wszystkich nieznośnych małych dziewczynek, jakie kiedykolwiek widział, słyszał lub o których słyszał, ona była najnieznośniejsza.

— *Najgorsza!* — dodał.

Mała dziewczynka zprzeciwka naturalnie uważała momentalnie Janeczkę, choć udawała, że jej nie widzi, i od samego początku jej fanfaronada w znacznej mierze obliczona była na zaimponowanie obserwatorce. Po chwilowem milczeniu, będącem rezultatem nieznaalezienia odpowiedniej repliki dla robotnika, który ją tak zjadliwie skrytykował, objęła zpowrotem energiczne kierownictwo nad swojemi interesami. Wbiegała do domu, to znów wybiegała ze zmarszczonem groźnie czołem i podniesionemi ramionami i zapomocą wszelkich rozporządzalnych przez nią środków starała się dać

do poznania swemu audytorjum, jak straszna odpowiedzialność spoczywa na człowieku, który musi naraz myśleć o tysiącu rzeczach i jednocześnie być w każdej chwili gotowym do decydującej akcji.

W tych gwałtownych popisach była jedna słaba strona: ich artystyczna szczerość była trochę zdyskredytowana skutkiem coraz częstszego podkreślenia efektu przez samą artystkę. W każdym silniejszym momencie błyskała ona z pod oka na Janeczkę, niby przesyłając jej dwa pytania:—„A to jak ci się podoba? Czy jeszcze na Mnie patrzysz?”

I oto pozornie wśród największych swoich kłopotów dziewczynka nagle i bez ostrzeżenia przestała robić zamieszanie, wyszła na ulicę, stanęła i bez ceremonji zaczęła patrzeć na Janeczkę.

Janeczka podjęła już swoje automatyczne jedzenie. Nie przerywając tej czynności, z powagą przypatrywała się w ten sam sposób nowej sąsiadce. Ta wzajemna, spokojna i nieobrażająca lustracja trwała przez kilka minut; poczem Janeczka, przekłnąwszy ostatni kawałeczek swoich zapasów, odwróciła głowę i spojrzała na drzewo. Mała dziewczynka, w której oczach ukazał się trochę żaloszny wyraz, również odwróciła głowę i spojrzała na drzewo. Po chwili przysunęła się do samego brzegu chodnika po stronie Janeczki i zaczęła wymachiwać prawą nóżką, kopiąc nią od czasu do czasu krawędź chodnika.

Janeczka wyszła na chodnik i zaczęła kopać sztachetę w parkanie.

— Widzisz tego starego grubasa? — zapytała mała, wskazując palcem na jednego z robotników celem stwierdzenia jego identyczności.

— Tak.

— To on stłukł złote rybki — rzekła. Nastąpiła pauza, w ciągu której nieznajoma w dalszym ciągu ostukiwała bucikiem skraj chodnika, a Janeczka wtórowała jej w podobny sposób, obijając sztachetę. — Powiem tatusiowi, żeby go kazał aresztować — dodała.

— Mój tatuś kazał raz aresztować dwóch ludzi — rzekła spokojnie Janeczka. — Dwóch albo nawet trzech.

Oczy dziewczynki powędrowały w górę — zaobserwowały dom ojca Janeczki i srogiego, młodego dżentelmena, widniejącego w obramieniu otwartego okna pierwszego piętra. Siedział przy stoliku z atramentem na czole i stukał się po zębach czerwona obsadką.

— Kto to jest? — zapytała.

— To Wiluś.

— Czy to twój tatuś?

— *Nieeee!* — wykrzyknęła Janeczka. — *To Wiluś!*

— Och! — rzekła mała, widocznie zadowolona z wyjaśnienia.

Obie zaczęły teraz zwalniać energiczne tempo kopania; uspokoiły się nóżki, urwała się rozmowa

i przez czas pewien Janeczka i nieznajoma trwały w milczeniu, choć nie jest wykluczone, że zachodziło między nimi jakieś milczące porozumienie. Potem nowa sąsiadka rozstawiła szeroko nożki i przechyliła się wtył, wysuwając naprzód dolną część tułowia i zginając szczególnie giętki krzyż tak, że profil jej figurki stał się wspaniale półkolisty.

Janeczka przyglądała się jej uważnie, ale bez komentarzy. Jednakże nie ulegało wątpliwości, że proces zaznajamiania się postępował pomyślnie.

— Idźmy na nasz dziedziniec—rzekła Janeczka.

Mała wyprostowała się z lekkim sapnięciem i przyjęła zaproszenie. Ramię w ramię przeszły obie przez bramę, wmaszerowały poważnie na trawnik i zatrzymały się jakby na dane hasło, poczem Janeczka rozstawiła szeroko nóżki i przechyliła się wtył, usiłując dokazać sztuki akrobacyjnej, świeżo zaprodukowanej przez nieznajomą.

— Patrz—rzekła.—Patrz na *mnie!*

Ale nie dorównując tamtej genjuszem, straciła równowagę i upadła. Z natury uparta, porwała się natychmiast na nogi i spróbowała ponownie.

— Nie! Patrz na *mnie!* — krzyknęła mała akrobatka, przybierając znów półkolistą pozę.—To się tak robi. Ja to nazywam „wysadzeniem żołądka z zawias”. Tyś nie wysunęła twojego dostatecznie ku przodowi.

— Ależ wysadziłam—rzekła, dysząc, Janeczka.

— Żeby to dobrze robić, musisz w ten sposób *chodzić*. Jak tylko wysadzisz „żołądek z zawias”, musisz zacząć iść. Patrz! To tak.

I mała akrobatka, nadawszy swej figurce taką wypukłość, że jej splecione włosy prawie dotykały ziemi, poczęła iść zręcznie w tej szczególnej postawie.

— Ja też tak idę—protestowała Janeczka z twarzą niezupełnie wdole. — Patrz! I ja też tak idę. Mój „żołądek”...

Zgóry zabrzmiał krzyk oburzenia i wstrętu, i z okna wynurzyła się sroga fizjonomja, usmarowana atramentem.

— Janku!

— Co?

— Przestań! Przestań natychmiast wypinać w ten sposób żołądek! To haniebne!

Obie młode damy, nieco zgnębione, powróciły do prostopadłej pozycji.

— Dlaczego mu się to nie podoba?—zapytała nieznajoma tonem szczerzego zdumienia.

— Nie wiem—rzekła Janeczka.—Jemu się dużo nie podoba. On ma siedemnaście lat.

Wymieniwszy powyższe słowa, obie patrzyły przez chwilę na ziemię pod karcącym wzrokiem surowej osobistości w oknie, poczem Janeczka nagle się rozjaśniła.

— Wiem!—wykrzyknęła swobodnie.—Zabawimy się w gości. Tu przy tym krzaku będzie mój dom.

Ty przyjdiesz do mnie z wizytą, i będziemy rozmawiały o naszych dzieciach. Ty jesteś pani Smith, a ja jestem pani Jones.—I przybierając charakter gościnnej matrony, wyszła uprzejmie na spotkanie sąsiadki.—Ach, moja droga pani *Smith*, proszę zaraz do *środku!* *Myślałam*, że mnie pani dziś odwiedzi. Chcę pani opowiedzieć o mojej ślicznej córce. Ma dopiero dziesięć lat i mówi jak najdowcipniejsze *kawały!* Naprawdę musi pani..

Ale w tem miejscu Janeczka urwała nagle i, piskoczywszy za krzak, wyobrażający jej mieszkanie, wyrzała z za niego nie na panią *Smith*, ale na przechodzącego chodnikiem dziesięcio czy jedenaścieletniego chłopca. Wyraz jej twarzyczki wskazywał na poważne zainteresowanie z odcieniem pobłażliwości, i pani *Smith* nie była do tego stopnia pozbawiona spostrzegawczości, żeby nie zrozumieć—że przynajmniej na teraz—wizyta została zawieszona.

Chłopiec gwizdał żwawo „*My country'tis of thee*”, i chociaż jego znajomość melodji kończyła się z drugim wierszem, nie zniechęcał się, ale zaczynał znów od początku, kontynuując w ten sposób ciągle wkołko i wynagradzając monotonię za pomocą patryjotyzmu. Gwizdał głośno; siedł z ostentacyjnym zamiarem załatwienia jakichś ciężkich spraw gdzieś daleko i miał zupełnie czerwone uszy. Nie patrzył ani w prawo, ani w lewo.

To jest, nie patrzył ani w prawo, ani w lewo,

dopóki nie minał parkanu Baxterów, lecz kiedy znalazł się w miejscu, gdzie kończyły się sztachety, odwrócił głowę i spojrzał za siebie, bez żadnego wyrazu twarzy—z wyjątkiem złożenia ust do gwizdania — na Janeczkę. I tak ciągle, pogwizdując „My country'tis of thee*), z różowo-białą twarzą nad ramieniem dążył przed siebie, aż wreszcie znikł z oczu.

— Co to za chłopiec?—zapytała nowa sąsiadka.

— To Fredzio—odparła spokojnie Janeczka.— On jest w naszej niedzielnej szkółce. On się kocha na mnie.

— Janka!

Znów wzburzona, powalana atramentem fizjonomja ukazała się groźnie w oknie.

— Czego chcesz?—zapytała Janeczka.

— Co ty właściwie chcesz przez to powiedzieć? zapytał Wilhelm. — Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie obrzydliwego! A wstyd!

Dziewczynka znaprzeciwka spojrzała poważnie w górę.—To warjat—zaopiniowała, i pomimo że Janeczka udzieliła jej już poprzednio odpowiednich informacji, zagadnęła ponownie. — To twój tatuś, nieprawdaż?

— Niel—odrzucała gniewnie Janeczka.— Powiedziałam ci pięć razy, że to mój brat, Wiluś!

— Oh! — rzekła mała i, pojawiawszy wreszcie, że

*) „Meja Ojczyzno o tobie—”

rzeczywista prawdziwa pozycja Wilhelma była czemś godnem lekceważenia w porównaniu z tem, co sobie uporczywie wyobrażała, poczuła, że będzie mogła zupełnie bezpiecznie nadać skierowanemu w górę spojrzeniu wyraz nieprzyjazny i krytyczny.—Zachowuje się, jakby miał bzika—zamruzczała.

— On się kocha „na” pannie Pratt—rzekła Janeczka.—Ona dziś odjeżdża. Mówiła, że odjedzie przedtem, ale dziś, to już *naprawdę!* Pan Parcher, gdzie ona bawi, o mało nie umarł, że ona tak długo siedzi. Ja myślę, że ona jest straszna.

Wilhelm, który wszystko słyszał, wrzasnął ochryple.—Już ja ci dam!—i znikł z okna.

— Czy on tu przyjdzie?—zapytała mała nieznajomą, robiąc krok w kierunku bramy.

— Nie. On poszedł po mamusię. Ona tylko powie nam, żebyśmy się poszły bawić gdzie indziej. Mogłybyśmy iść porozmawiać z Genezisem.

— Kim?

— Genezisem. On wrzuca szuflą węgiel do piwnicy przez okno. On jest miły.

— Poco on wrzuca węgiel przez okno?

— To murzyn — rzekła Janeczka.

— Czy teraz pójdziemy z nim porozmawiać?

— Nie—rzekła w zamyśleniu Janeczka.—Teraz będziemy się bawiły w gości. Jak mamusia przyjdzie i każe nam stąd iść. Jakie ty masz imię?

— Rania.

— Nie, chyba nie.

— Ale tak, Rania—twierdziła z całą stanowczością dziewczynka.—Moje całe imię jest takie: Marja Randolf Kirsted, ale moje krótkie imię jest Rania.

Janeczka roześniała się.—Jakie zabawne imię —rzekła.—Nie chciałam powiedzieć —twoje prawdziwe nazwisko, tylko nazwisko twoje przybrane, jak jesteś gościem. Jedna z nas była pani Jones, a druga była..

— Ja chcę być pani Jones — rzekła Rania.

— Och, moja *droga* pani Jones—zaczęła z miejsca Janeczka.—Chcę pani opowiedzieć o moich ślicznych dzieciach. Mam ich dwoje. Jedno ma dopiero siedem latek, a drugie..

— Janeczko! — zawołała pani Baxter z okna pokoju Wilhelma.

— Słucham!

— Musisz iść bawić się gdzie indziej. Wiluś próbował trochę się tu pouczyć, ale mówi, że mu ogromnie przeszkadzasz.

— Słucham.

Posłuszna Janeczka i jej przyjaciółka zabrały się do odwrotu. Odchodząc, panna Marja Randolf Kirsted pozwoliła sobie podnieść czy, które z wyrazem spotęgowanej niechęci utkwiła w Wilhelmie. Młodzieniec ukazał się właśnie w oknie obok pani Baxter.

— Powiem ci, co zrobić — poradziła zniżonym

głosem Rania. — On taki był dla nas zły i kazał przyjść twojej mamusi i wszystko, więc... — więc...

Zawahała się,

— Więc co? — przynaglała ją skwapliwym szeptem Janeczka.

— Wymyślmy coś takiego, co mu się nie będzie podobało — i zróbmy to!

Znikły za węglem domu z przytulonemi do siebie główkami.

XII

NIE ZAPOM...

Pani Baxter skierowała się do drzwi pokoju syna, udając, że nie widzi utkwionego w siebie wzroku młodzieńca. Wziąwszy na odwagę, zaczęła nucić coś półgłosem, i udając, że się niczego nie domyśla, już prawie znalazła się za progiem, gdy on odezwał się surowym głosem:

— Czy to wszystko, co mamusia zamierzała powiedzieć temu dziecku?

— Ależ tak, Wilusiu.

— A przecież mówiłem mamusi, co ona powiedziała! — krzyknął. — Powiedziałem mamusi, że *słyszałem*, jak tam stała i opowiadała tej umorusanej dziewczynie, że ten idjota chłopak, który tu zawsze przychodzi kilka razy na dzień, gwiżdżąc i oglądając się za siebie, jest „na niej zakochany”! Piekło i szatani! Na co ona wyrośnie, jeżeli ma-

musia nie kárze jej za to, że ma takie myśli w tym wieku?

Pani Baxter popatrzyła na niego łagodnie bez słowa odpowiedzi, on zaś ciągnął dalej z głośnem oburzeniem.

— Nigdy nie słyszałem o czemś podobnem! Ten Robak, przechodzący tędy cztery-pięć razy dziennie poto, żeby spojrzeć na *Janke!* I ona, stercząca tutaj i opowiadająca tej umorusanej dziewczynie: „On jest na mnie zakochany!” Przecież to można dostać morskiej choroby! Słowo daję, gdyby to ode mnie zależało, tobym się postarał, żeby ona i ten smarkacz Fredek Banks dostali lanie pierwszej klasy!

— Czy nie uważasz, Wilusiu — rzekła pani Baxter — czy nie uważasz, że zważywszy na nieszkodliwą metodę zalotów Fredzia, zalecasz zbyt kraciwe środki?

— Dobrze, *ona* z pewnością powinna być ukarana! — nalegał i zadrżał, tknięty znów spazmem udręki i upokorzenia. — To jeszcze głupstwo! — wykrzyknął. — Idzie o obelżywe rzeczy, jakie jej mamusia pozwala zawsze wygłaszać o jednej z najszlachetniejszych dziewcząt w Stanach Zjednoczonych — *to jest* właśnie najważniejsza! Ostatniego, najostatniejszego dnia — co mówię prawie ostatniej godziny — pobytu panny Pratt w tem mieście pozwala mamusia swojej jedynej córce stać i mówić o niej bez uszanowania, a potem reaguje mamusia

tylko w ten sposób, że każe jej iść bawić się gdzie indziej! Nie rozumiem, jak mamusia to dziecko wychowuje! — wygłosił zapalczywie. — *Nie rozumiem!*

— Spokojnie, Wilusiu — rzekła pani Baxter — jesteś wzburzony...

— Nie jestem wzburzony! — wrzasnął Wilhelm. — Dlaczegoż zarzuca mi mamusia...

— No, no! — rzekła. — Jutro będziesz się lepiej czuł.

— Co mamusia przez to rozumie? — zapytał, głęboko oddychając.

W odpowiedzi potrząsnęła tylko głową w dziwny sposób, a w ostatniem spojrzeniu, jakie mu posłała, wychodząc, było jednocześnie coś współczującego, rozśmieszonego i uspokajającego.

— Wszystko będzie dobrze, Wilusiu — rzekła i cicho zamknęła drzwi.

Pozostawiony samemu sobie — Wilhelm wykonał serję gwałtownych gestów zaciśniętymi pięściami w kierunku sufitu, poczem z jękiem osunął się na krzesło koło stolika z przyborami do pisania. Niebawem, stosunkowo uspokojony, wyjął ze szufladki jednofuntowe pudełko cukierków, owinięte w białą bibulkę i opasane niebieską wstążeczką. Postawiwszy je ostrożnie obok na stole, wydobyl z pod zielonego bibularza parę zabazgranych arkuszków, umieścił je przed sobą i zwolna.

z niesłychanie kaligraficzną starannością przepisał na innym papierze:

„Droga Lolul — Spodziewam się, że kiedy będziesz czytała to, co piszę, będzie dzisiejsze popołudnie i Ty będziesz w pociągu, unoszącym Cię szybko od tego starego miejsca, dalej i dalej od tego wszystkiego. Kiedy tak siedzę tutaj przy mojem starem biurku i spoglądam na to wstecz, pisząc ten list pożegnalny, spodziewam się, że przy czytaniu niniejszego również spojrzysz wstecz na to wszystko i pomyślisz o kimś, kogo nazywałaś (Alias) Małym Chłopcem Baxterem. Kiedy tak siedzę tutaj w ten poranek, w którym wkońcu odjeżdżasz, spoglądam wstecz i nie mogę sobie przypomnieć żadnego lata w całym mojem życiu, podobnego do tego lata, bo tego lata zaszła we mnie wielka zmiana. Jeżeli chciałabyś wiedzieć, co to znaczy, to było coś takiego, co ja mówiłem, gdy Jan Watson przyszedł tam wczoraj po południu i przerwał to, co mówiłem. Oby ci smakowały cukierki i obyś myślała o tym, co ci je daje. Włożę coś do tego listu. Jest to coś, co może chciałabyś mieć, i wzamian dałbym wszystko, co posiadam, za jedną Twoją, jeżelibyś mi ją przysłała po przyjeździe do domu. Proszę, zrób to, bo mi serce teraz pęka.

Twój oddany
 Wilhelm S. Baxter
 (Alias) Mały Chłopiec Baxter”.

Wilhelm otworzył pudełko z cukierkami i umieścił list na wierzchniej warstwie czekoladek. Na liście położył swoją fotografię w małym formacie (owiniętym w bibułkę). Potem wyciął nożyczkami prostokątny kawałek kartonu wielkości pudełka. Na tym kartonie wypisał pracowicie, co następuje, kopując z rozłożonego przed sobą zagryzzonego, pomazanego atramentem arkusika.

W MARZENIU

przez Wilhelma S. Baxtera

Światło dzienne
 Zagasa senne,
 Ale nie zgaśnie w niepamięci
 Ten uśmiech, co mnie jeszcze łączy.
 Przez przyszłe cztery lata, mała,
 Co takie długie są przed nami
 Wierzę, że będziesz pamiętała
 I pamięć tę oblejesz łzami
 Moja miła,
 Jakakolwiekby była
 Moja ranga, położenie,
 To, otrzymując wykształcenie,
 Choć się wydajesz w oddaleniu,
 Będę cię widział wciąż w marzeniu.

Włożył poemat między fotografię i list, zamknął pudełko i zpowrotem owinał je w bibułkę i przewiązał błękitną wstążeczką. W trakcie dokonywania tych rytualnych obrzędów (były to bowiem rytualne obrzędy zarówno z ducha, jak i z maniery), doznawał jakichś nieprawidłowości w oddychaniu, napół pociągał nosem i napół wzdychał. Ale te

bolesne objawy przeszły. Siedział teraz z łokciami na stoliku, z brodą na rękach, z rozmarzeniem w oczach. Tragedja ustąpiła miejsca łagodniejszym uczuciom; bezwątpienia coś go musiało uspokoić. Możliwe, że nawet w tej godzinie, poprzedzającej godzinę odjazdu, doznał odrobiny tego zdziwienia, jakie ma prawo czuć każdy poeta po stworzeniu każdego nowego cudu z zakresu liryki.

Być może, że pomogło mu również przewidywanie tego, co pomyśli o nim panna Pratt, kiedy po południu przeczyta w pociągu „W marzeniu”. Z powodów czysto intuicyjnych i stanowczo bez faktycznej podstawy cieszył się, że nie zostanie jej ofiarowany żaden współzawodniczący pożegnalny poemat; to też może i myślał, że w „W marzeniu” pokaże jej wkońcu w jednym błysku światła, co, jak czasami przelotnie mówiły jej oczy—dostrzegła częściowo: różnicę między Wilhelmem i takimi przeciętnymi, dość porządnymi, pocziwymi ludźmi, jak Józio Bullit, Wal Banks, Janek Watson i inni. Tak, kiedy przeczyta „W marzeniu” i „spojrzy wstecz na to wszystko”, z pewnością zrozumie —nareszcie!

A potem, kiedy miną cztery długie lata („to, otrzymując wykształcenie...”)—pojedzie do niej. Pojedzie do niej, a ona weźmie go za rękę, poprowadzi do swego ojca i powie: „Ojcze, to jest Wilhelm”.

Ale Wilhelm zwróci się do niej i powie z daw-

nym, figlarnym błyskiem oczu: „nie Wilhelm, ale Mały Chłopiec Baxter! Dla ciebie zawsze, zawsze tylko tak; och, moja droga!”

A wtedy tak, jak się to dzieje w powieściach, kinie, farsach i weselszych dramatach, jej ojciec powie z żartobliwą łaskawością: „Dobrze, kiedy się już *porozumiecie*, moi młodzi, znajdziecie mnie w bibliotece, gdzie mam ci do zakomunikowania pewien dobry *interes*, młody człowieku!”

A kiedy stary pan w białej kamizelce i z białym zarostem, chichocząc, wyjdzie z pokoju, Wilhelm zwolna rozpostrze ramiona; ale Lola cofnie się od niego o krok—tylko o krok—i, położywszy figlarnie na ustach paluszek, by go powstrzymać, powie do niego: „Czekaj, mój paniel”. I powie: „Mam panu zadać jedno pytanie”.

„Jakie pytanie, Lolu?”.

— „*To* pytanie, mój paniel odpowie ona. Dłaczegoś mi nigdy nie powiedział przez całe to dawne lato, mój panie, kim *byłeś*, dopóki nie odjechałam, i było za późno, żeby ci okazać, co czułam? Ach, Ty, Mały Chłopiec Baxter, niczego nie rozumiałam, dopóki nie spojrzałam wstecz na to wszystko, dopóki nie przeczytałam „W marzeniu”, w pociągu tego dnia! *Wtedy zrozumiałam!*”

„A teraz Lolu?” zapyta Wilhelm. „Czy mnie rozumiesz *teraz?*”

Bojaźliwie zrobi jeden krótki krok, który ich

dzielił, podczas gdy on z rozpostartemi, stęsknionemi ramionami, tym razem bez zawodu...

W tym ważnym momencie pani Baxter zapukała do drzwi, i Wilhelma odbiegło momentalnie kojące marzenie. Z wysokości wielu mil runął z trzaskiem z różanego nieba. Drgnął, usunął z widoku święte pudełko i odezwał się mrukliwie i ze złością.

— Czego sobie mamusia życzy?

— Ja nie wchodzę, Wilusiu — rzekła matka. — Chciałam się tylko dowiedzieć — myślałam, że może wyglądałeś oknem i widziałeś, dokąd te dzieci poszły.

— Co za dzieci?

— Janeczka i ta mała dziewczynka zprzeciwka. Nazywa się Kirsted.

— Nie. Nie widziałem.

— Właśnie ciekawa byłam — rzekła nieśmiało pani Baxter. — Genezis jakoby słyszał, jak ta mała Kirsted mówiła do Janeczki, że ma dużo pieniędzy na tramwaje. On myśli, że pojechały gdzieś tramwajem. Myślałem, że może zauważyłeś, czy...

— Powiedziałem, że nie widziałem.

— Dobrze — rzekła pojednawczo. — Nie chciałam ci przeszkadzać, kochanku.

Nastąpiło milczenie, ale żaden odgłos oddalających się kroków nie wskazywał na to, żeby pani Baxter odeszła od zamkniętych drzwi pokoju syna.

— Więc czego sobie mamusia życzy?—wrzasnął Wilhelm.

— Nic—zupełnie nic—odparł tkliwy głos.—Właśnie myślałam, że każę podać drugie śniadanie trochę później niż zwykle; dopiero o wpół do drugiej. To jest, jeżeli—myślałam, że prawdopodobnie będziesz chciał iść na stację pożegnać pannę Pratt na pociąg o pierwszej.

Nawet tak przyjacielskie postawienie sprawy musiało się wydać rozdygotanemu Wilhelmowi niedyskretnem wglądaniem w jego tajemnice, gdyż zapytał ostro:

— Skąd mamusia wie, że ona odjeżdża o pierwszej?

— Przecież...—przecież Janeczka wspominała—odparła z widoczną nieśmiałością pani Baxter.—Janeczka mówiła...

Przerwało jej głośnie, rozpaczliwe uderzenie pięści Wilhelma w stolik do pisania, tak był rozdrażniony.—To poprostu nie do zniesienia!—wykrzyknął.—Niczyje sprawy nie są bezpieczne od tego smarkacza!

— Ależ Wilusiu, nie pojmuję, co za znaczenie może mieć...

Wydał okrzyk.—Niel nie ma znaczenia! Nic, absolutnie nic nie ma znaczenia! Czy mamusia przypuszcza, że ja chcę, żeby ten obelżywy smarkacz roztrząsał, kiedy panna Pratt odjeżdża, czy nie odjeżdża? Czy mamusia nie wie, że są rzeczy, któ-

re nie powinny być przedmiotem gadaniny każdego Tomka, Rysia, czy Henrysia?

— Ależ mój drogi — rzekła — naturalnie, że rozumiem. Janeczka powiedziała mi tylko, że spotkała na ulicy pana Parchera i on wspominał, że panna Pratt odjeżdża dziś o pierwszej. To wszystko, co ja...

— Mamusia mówi, że rozumie — zawodził, potrząsając posępnie głową w kierunku zamkniętych drzwi, a jednak, nawet w taki dzień, jak ten, mówi *i mówi!* Czy mamusia nie może zrozumieć, że są czasami takie chwile, kiedy ktoś nie może znieść, żeby...

— Tak, Wilusiu — przerwała pośpiesznie pani Baxter. — Naturalnie! Odchodzę teraz. W każdym razie muszę iść wytropić te dzieci. Postaraj się być zpowrotem na lunch o wpół do drugiej — i nie trap się, kochaneczku, naprawdę *przyjdiesz* do siebie!

Odeszła. Pogoniło za nią przepastne westchnienie, gdy wychodziła z hallu. Jej pocieszające słowa nie zrobiły na jej synu przyjemnego wrażenia, gdyż czuł, że jej optymizm był nietaktowny i nie na miejscu. Nie zamierzał wcale „przychodzić do siebie” i nie pragnął, żeby ktokolwiek wglądał w jego tragiczne przeżycia.

Podszedł do lustra i, patrząc długo — długo i przenikliwie na odbitego w niem Wilhelma, odegrał prawie nieświadomie małą scenę rozstania.

Wyraz cierpienia na odbitej w lustrze twarzy uległ powolnemu przeobrażeniu, a na jego miejsce wystąpił inny, także smutny, ale przepojony słodkiem pobłażaniem. Wyciągnął rękę, jakgdyby kładąc ją na czyjejs głowie, prawie na wysokości swego ramienia.

— Tak, to może być—może być na zawsze!—rzekł cichym, drżącym głosem.—Moja dziewczynko, *musi*ny być dzielni!

I w trakcie patrzenia w lustro oczy jego przybrały wyraz chwilowego przyjemnego zdziwienia, jakgdyby nawet w sztuce smutku przekonał się, że był większym artystą, niż sam sądził. Ale jego smutek bynajmniej nie był przez to mniej szczery i mniej prawdziwy.

Zauważył, że ma atrament na czole, i poszedł się umyć. Po powrocie uczynił rzecz niezwykłą—wyczyścił dokładnie kurtkę, którą nawet zdjął w tym celu. Następnie z poważną miną wyczesał i wyszczotkował włosy, przewiązał na nowo krawat i wyjął z szuflady dwie czyste chustki do nosa. Jedną włożył do kieszonki na przodzie kurtki, przyczem kawałek kolorowego rąbka wysunął na wierzch, drugą wytarł starannie buty. Wkońcu, trzymając ją za dwa końce, przesunął ją po nich tam i zpowrotem, jakby pilując, i z westchnieniem niedbale upuścił na ziemię, gdzie pozostała.

✓ Powróciwszy do lustra, ponownie wyszczotkował włosy—tym razem posunął się aż do wyszczo-

tkowania brwi, na których wygląd, jak się zdaje, ten zabieg wiele nie wpłynął. Nagle coś ujrzanego w lustrze przykuło jego uwagę w stopniu uderzającym.

— Na Boga!—wykrzyknął głośno.

Chwyciwszy małe ręczne lusterko, umieścił je koło prawego oka i starannie przyjrzał się swemu lewemu profilowi, odbitemu w większem lustrze. Potem zbadał prawy profil w podobnie staranny sposób—to jest ze wzruszeniem, ale uważnie i długo.

— Rany Boskie!—wykrzyknął ponownie.—Rany Boskie!

Zrobił odkrycie. Na górnej wardze widniał ciemnawy puszek. W tej właśnie chwili przekonał się, że można go było dostrzec i z profilu, gdyż wystawał nieco nad wargę, niby słabiutka aureola. Można go było widzieć z *profilu*.

— Rany Boskie!—krzyknął Wilhelm.

Zajęty był jeszcze dwoma lustrami, kiedy matka po raz drugi zapukała delikatnie do jego drzwi, budząc go jakby ze snu (krótkiego, lecz miłego) do ciężkiej rzeczywistości dnia.

— Czego sobie mamusia jeszcze życzy?

— Nie wchodzę—rzekła pani Baxter.—Przyszłam się tylko czegoś dowiedzieć.

— Czego?

— Chciałam... myślałam, że może czego potrzebujesz. Wiem, że twój zegarek źle idzie...

— Wielkie nieba, to i cóż z tego?

W odpowiedzi, niby przepraszając, roześmiała się pojednawczo i rzekła: — Właśnie chciałam ci powiedzieć — dlatego, że jeżeli zamierzasz iść na stację, to nie chciałbyś pewnie spóźnić się i przyjść po odejściu pociągu. Mam tu twój kapelusz — porządnie wyczyszczony. Jest prawie dwadzieścia na pierwszą, Wilusiu.

— *Co?*

— Tak, kochanku. Jest...

Nie zamieniła z nim ani słowa więcej.

Bez tchu Wilhelm otworzył z trzaskiem drzwi, porwał kapelusz, zleciał z hałasem po schodach i wypadł na dwór, przyczem drzwi zostawił otwarte. W osiem sekund później powrócił galopem, popędził do swego pokoju, z którego wynurzył się momentalnie, ukrywając coś pod kurtką. Na pytanie matki odpowiedział coś nie do rzeczy, spadł z połowy schodów aż do załamu i, używszy otrzymanego w ten sposób impetu, jako pomocy do szybszego przebycia reszty schodów — znikł z oczu i słuchu.

Pani Baxter westchnęła i poszła do okna swego pokoju, by wyrzeć na syna.

Wilhelm znajdował się już więcej niż w połowie drogi do najbliższego zakrętu, koło którego był przystanek linii tramwajowej, idącej w kierunku dworca, ale odległość nie była tak wielka, żeby oczy pani Baxter nie rozróżniły białej prostokątnej paczuszki w prawej ręce młodzieńca. Patrzac na

mknącą, smukłą postać, pogrążyła się w zadumie; nawiedziło ją wspomnienie pewnego siedemnastoletniego chłopca, który raz, dawno już temu, przyniósł jej na stację pudełko czekoladek (takie małe, jak Wilhelma), kiedy bawiła w obcym mieście. Przez chwilę myślała o tym chłopcu, którego znała przed laty, i nieokreślony uśmiech okolił jej wargi. Zastanawiała się, z jaką on się kobietą ożenił, ile miał dzieci... i czy był wdowcem..

Przelotne wspomnienie uleciało; odwróciła się od okna i potrząsnęła głową, mocno zaintrygowana.

— Gdzie się też mogły podziać Janeczka i ta mała Kirsted?—szepnęła do siebie.

Na stacji Wilhelm, wysiadłszy z tramwaju, przekonał się, że pozostaje mu jeszcze sześć minut czasu. Upewniwszy się o tem na zegarze na wieży stacyjnej, wszedł do budynku i przebył wielką poczekalnię krokiem pełnym spokojnej godności. Te pełne spokojnej godności kroki wykonywały nogi, które zdradzały się bardzo niewiele lekkim drżeniem w kolanach. Nadto, jakkolwiek twarz Wilhelma była czerwona, to przecież wyraz jej—chłodny i skoncentrowany na doniosłe rzeczy—miał wzgardę dla obcych i ostrzegał niższe klasy, że misja tego przedstawiciela „góry” nie ich miała na celu.

Jedno tylko dumne i odpychające spojrzenie, jakim obrzucił obecną hołotę, wystarczyło mu, by się upewnić, że osoby, której szukał, nie było

w poczekalni. Wobec tego skierował się ku drzwiom, wychodzącym na peron, ale zanim wyszedł, przystanął, zdjęty niesmakiem. Tuż przy wyjściu stała budka telefoniczna. Z wnętrza tej budki wyglądała skwapliwie na Wilhelma mała dziewięćco czy dziesięćcioletnia dziewczynka, przyczem oczy jej znajdowały się tuż nad parapetem okienka w drzwiach budki.

Nawet tak nieznaczny fragment przedstawiał ją, jako umorusaną i zakurzoną dziewczynkę; widocznie matka jej tego dnia musiała być pochłonięta jakimiś ważnemi sprawami; ale Wilhelmo wi wydała się ona zupełnie nieznajoma. W chwili, gdy wzrok jego spotkał się przypadkiem z jej oczami—momentalnie zajaśniały one gorączkowo—ukazała całą twarzyczkę w okienku i impulsywnie pokazała mu język.

Wilhelm absolutnie sobie nie przypominał, żeby ją kiedy przedtem widział.

Rzucił jej jedno surowe spojrzenie i odszedł, choć czuł, że powinien był coś zrobić. Nie była to sprawa osobista — widocznie było to dziecko, które bawiło się na terenie dworca i robiło sobie sport z pokazywania języka każdemu, kto przechodził koło budki telefonicznej—jednakowoż władze nie powinny były na to pozwalać. Ludzie nie poto przychodzili na dworzec, żeby ich znieważać.

W trzy sekundy później dziewczynka z zamorusaną buzią i jej *moue* uleciały zupełnie z pamięci

ci Wilhelma. Gdyż w momencie, kiedy drzwi zamknęły się za nim, ujrzał pannę Pratt. Nie było żadnej bramy ani żelaznej barjery, zasłaniającej widok; nie zaciemniała go też żadna szklana hala. Znajdowała się w odległości jakichś dwustu stóp, koło szyn, gdzie miały się zatrzymać wagony sypialne długiego pociągu. Tam ona stała, ona, jakiej drugiej nie było na całym szerokim świecie!

Tam ona stała—jaśniejąca drobna figurka w ładnym, wrześniowym słońcu, z włosami niby mgła bursztynowa, błyszczącemi z pod ślicznego, małego kapelusika, z małą wiązką fiołków przy pasku, z większym pęczkiem pachnących, ale mniej kosztownych groszków w prawej ręce, z sześcioma różowemi różami w lewej; z małym pieskiem, Flopitem w zagięciu jednego ramienia i jednofuntowem pudełkiem czekoladek w zagięciu drugiego—stała czarująca, promienna, gwiazdzista! Obok niej znajdowała się jej młoda przyjaciółka i trzech młodzi dżentelmeni w bardzo uroczystym nastroju—Wal Banks, Janek Watson i Józio Bullit. Panna Parcher, ujrzawszy Wilhelma, wyłaniającego się ze stacyjnego budynku, machnęła na powitanie parasolką, zwróciwszy nań uwagę pozostałych, tak, że wszyscy odwrócili się i utkwili wzrok w nadchodzącym.

Dla siedemnastoletniego dżentelmena jest czasem kłopotliwem zadaniem (nawet w stanie głębokiej emocji) przebyć jakieś dwieście stóp, dzielących

go od grupy ludzi, którzy przyglądają mu się uporczywie, póki się z nimi nie zrówna. A kiedy jeszcze w obserwacyjnej grupie znajduje się jedyna na całym świecie, przed którą pragnie się człowiek okazać jak najswobodniejszym i to nie tylko ona, ale i kilku rywali, którzy, choć *bardzo* poczciwi, nie zasługują na to, żeby im zaufać, że nie skorzystają z okazji i nie mrukną pod jego adresem czegoś żartobliwego.—Nie, nie można powiedzieć, żeby Wilhelm nie miał ani trochę tremy.

W wyobraźni wyprorokował na tę chwilę coś zupełnie różnego. Widział siebie, rozstającego się z nią bez świadków, jakby w chmurze. Widział siebie, składającego w jej ręce miękkim gestem pudełko czekoladek, przyczem palce ich miały się zetknąć i pozostać tak w lekkim kontakcie aż do ostatniej chwili. Widział siebie, schylającego się ku słodkiej blond główce z paroma ostatniemi, szeptem wymówionemi, prostemi, a pełnemi znaczenia słowami, podczas gdy jej oczy, wzniesione z tajemniczym wyrazem ku jego twarzy... w obrazie nie umieścił żadnych innych figur, nawet panny Pacher.

Rozstanie jest najdramatyczniejszym momentem młodej miłości, i jeżeli jest chwila, kiedy młody amant pragnie przedstawić się wzniosle, lecz wdzięcznie, to właśnie na samym koncu. Pozostawić ukochanej jako wspomnienie końcowy obraz męskiej godności w smutku—to nadewszystko jest

pragnieniem zakochanego. Jednakże już na samym początku tego dwustustopowego marszu (tak póź niej wszechstronnie omawianego) Wilhelm poczuł, że uszy robią mu się gorące, i kiedy zdjął kapelusz w zamiarze machnięcia nim wesoło w odpowiedzi na ukłon panny Parcher, zrobił tylko niepewny gest, tak, że żałował, że tego próbował. Nadto po przebyciu nawet nie jednej trzeciej części odległości spostrzegł, że grupa przypatruje mu się z niezrozumiałem zainteresowaniem i zaczyna się zanosić od śmiechu.

Wilhelm był pewny, że jego szaty były w zupełnym porządku i że same w sobie nie mogły być przyczyną śmiechu:—wszystkie te osoby często widywały go ubranego tak, jak dzisiaj, i zachowywały powagę. Ale wbrew sobie samemu zdjął ponownie kapelusz i obejrzał go, czy nie był jakim sposobem powodem uciechy, która na ten widok jeszcze się wzmogła. Więcej, bo śmiech udzielił się obcym i niektórzy postawiali na ziemi ręczny bagaż, by z większą swobodą cieszyć się tem, co widzieli.

Wewnętrzny stan Wilhelma przeszedł w tragiczny chaos.

Próbował uśmiechać się niedbale dla kontensu, ale przekonał się, że stracił prawie zupełnie władzę nad mięśniami twarzy. Nie miał żadnej świadomości jej wyrazu z wyjątkiem nieprzyjemnej sztuczności. W rozpaczę uciekł się do

wyniosłości, udało mu się zrobić marsa i przybrać dumną postawę. Na to zaczęli się jeszcze bardziej zaśmiewać, przyczem Wal Banks wskazywał brutalnie na Wilhelma i to ciągle; dopiero, kiedy zbliżający się nieszczęśnik znalazł się w odległości dwudziestu stóp od rozbawionej młodzieży, pojał znaczenie ciągłych wskazujących gestów Wala. Ale pomimo to zrozumiał dopiero wtedy, o co chodzi, gdy gesty uzupełniono pół-artykułowanemi okrzykami:

— Za tobą! Spójrzij za siebie!

Oszołomiony młodzieniec zrobił zwrot wtył.

Bezpośrednio za sobą ujrzał szczególną, małą procesję, składającą się z dwóch panieneczek, idących gęsiego, pierwszej umorusanej przy przeprowadzce, drugiej umazanej marmoladą z jabłek.

Dla większej pewności ruchów zdjęły buciki i każda dziewczuszka, parując, huśtała po jednym buciku w każdej wyciągniętej nabok rączce. Obie artystki niezależnie od pokładu marmolady jabłkowej, czy warstwy brudu i kurzu, promieniały wielkiem, szyderczem zadowoleniem.

Maszerowały z „żołądkami wysadzonemi z zawias”.

Na widok twarzy Wilhelma zapiszczały, odwróciły się, uciekły i znikły z oczu.

Jednocześnie powietrze zatrzęsło się od grzmotu, i luksusowy pociąg wjechał z hukiem na stację. Ach, biada temu słowu! Był to potwór, ma-

jacy unieść z sobą dziewczeczkę i cud świata — miał unieść i uniesie, nie darowawszy ani jednej sekundy!

Tragarz zabrał jej ręczny bagaż.

Wielkie nieba! być tragarzem — tak, ciemno-skórym człowiekiem! Cóż z tego *teraz*? Poprostu być zwyczajnym tragarzem i pojechać z nią do dalekiej, obcej perły między miastami, skąd przybyła!

Uniżony tragarz z ukłonami poprowadził ją ku stopniom wagonu, ale ona oddała wpierw na chwilę Flopita w ręce Marysi Parcher i szepnęła słówko Józiowi Bullitowi, potem Walowi Banksowi, potem Jankowi Watsonowi—wkońcu podbiegła do Wilhelma.

Wzięła go za rękę.

— Nie zapominać! — szepnęła. — Nie zapominać o Lolil!

Stał jak wryty. Twarz miał białą, a rękę wilgotną. Nie rzekł ani słowa.

Otoczyła ramionami Marysię Parcher i ucałowała ją serdecznie; poczem z Flopitem na rękę pobiegła i skoczyła na stopień wagonu właśnie w chwili, gdy pociąg ruszał. Stała na najniższym stopniu, zwolna się od nich odsuwając—w oczach błyszczały jej łzy, pozostałość, być może, po śmiechu z widowiska, jakie jej zgotował biedny Wilhelm, Janeczka i Renia Kirsted—a może i nie.

Nie mogła wymachiwać rączkami w odpowiedz:

na pożegnalne gesty przyjaciół, gdyż zbyt były pełne Flopita, róż, cukierków i pachnących groszków, ale kiwała ciągle główką w sposób, który okazywał im, jak bardzo im dziękowała za to, że jej żalowali—i dawał jasno do zrozumienia, że i jej było smutno i że ich wszystkich kochała.

— Dowidzenia!—mówiła tym gestem.

Oddalała się coraz prędzej; lokomotywa znikła na zakręcie koło mostu, ale jeszcze przez chwilę mogli dojrzeć małą figurkę na stopniach — i do „najostatniejszego” momentu, kiedy im znikła z oczu, mała blond główka przesyłała im ciągle „dowidzenia! Niebawem i stopnie, na których stała, przesunęły się z kolei na zakręt koło mostu, i więcej jej nie zobaczyli.

Lola Pratt odjechała!

Z mokremi oczami jej młodociana, goszcząca ją przez całe długie lato przyjaciółka odwróciła się i potknęła o Wilhelma.— To ty, Wiluś Baxter! —zawołała, mrużąc oczy.

Ostatni wagon objechał zakręt i zniknął, ale Wilhelm nie przestał jeszcze przysyłać pożegnań —nie chusteczką, lecz prostokątną jednofuntową paczką, owiniętą w białą bibułkę i przewiązaną niebieską wstążeczką.

— Nic nie szkodzi!—rzekła Marysia Parcher.— Chodźmy wszyscy pieszo do miasta, żeby o niej porozmawiać, będziemy przechodzili koło poczty, to będziesz mógł wysłać jej swoje cukierki ekspressem, Wilusiu.

XIII

PRZYSZŁA NARZECZONA

W niewielkim domu, który przez całe lato od rana aż do późnej nocy rozbrzmiewał głosami młodzieży, wtórował echowo ich śpiewom, szemrał ich teorjami miłości albo wibrował od ich uciechy, czasami zaś trząsł się od strychu do piwnic od objawów ich burzliwszych nastrojów — w tym domu, tak teraz stosunkowo opustoszałym, stał jego właściciel i oddychał głęboko.

— Ha! — rzekł, wdychając i wydychając głębokie hausty powietrza.

Jego żona siedziała nazewnątrz, na werandzie, zajęta szyciem. Panowało głębokie milczenie. Zdało się, że się mu przysłuchiwał — z upodobaniem, twarz mu się zwolna rozszerzała i pokrywała zleka różowawem zabarwieniem, wiotkie policzki zdawały się znów wypełniać i jędrnieć; wkońcu rozciągnęły się od błęgiego uśmiechu.

— Ha! — odetchnął głośno. Uderzył się kilkakrotnie w klatkę piersiową, aż się echo rozległo, poczem wyszedł na werandę i usiadł w bujającym fotelu obok żony. Rozciągnął się. — Wszyscy Święcil — rzekł. — Sądzę, że zdejmę kurtkę! Przez calutkie lato nie zdjąłem jej poza obrębem mojego pokoju, zrobię sobie wakacje. Na Boga! Myślę, że dziś nie wyjdę już z domu!

— To ślicznie — rzekła pani Parcher.

— Ha!—powiedział.— Na Wszystkich Świętych
Chyba zdejmę buty!

I nie spotkawszy się ze sprzeciwem, przystąpił
do wykonania swego zamiaru.

— Ha— *ab!*— rzekł i oparł nogi w skarpetkach
o balustradę, gdzie dzikie wino, pnące się po sznu-
rach, tworzyło zasłonę między werandą i ulicą.
Zapalił ogromne cygaro.

— Ah, ah!— powiedział.— Jak mi dobrze! Jeżeli
tak dalej pójdzie, to dojdę do takiego dobrego
samopoczucia, jak na wiosnę, wiesz przed czem!

Rozłożył się w bujającym fotelu, z rękami pod
głową, paląc z zapalem cygaro, ale nagle podsko-
czył w sposób, wskazujący na to, że jego nerwom
daleko było jeszcze do normalnego stanu. Nogi
jego uderzyły mocno o ziemię, wypuścił cygaro
z ust i zwrócił się ku żonie ze skonsternowaną
twarzą.

— Co się stało?

— Przypuścimy — rzekł głucho pan Parcher —
przypuścimy, że się spóźniła na pociąg.

Pani Parcher potrząsnęła głową.

— Nie myślisz?— rzekł rozjaśniony. — Kazałem
przysłać powóz dużo wcześniej, niż było potrzeba.

— Przysłali — odparła surowo pani Parcher —
wzięli prawie pięć dolarów.

— Eh, mniejsza z tem — odpowiedział, znów
opierając nogi o balustradę.

— Ostatecznie, na swój sposób, to była pory-

wająca dziewczynka. Jedynem mojem zmartwie-
niem była ta chmara chłopaków;—to poprostu było
zabijające ten przymus słuchania ich nonsensów
i sędzę, że gdyby pozostała dzień dłużej, byłoby
po mnie z pewnością. Ze wszystkich piekielnych
chłopaków, jakich kiedy...—Urwał, słuchając.

— Panie Parcher! — powtórzył młodociany gło-
sik.

Wstał i, rozsuniawszy gałązki winorośli, zasła-
niające werandę od ulicy, wyrztał nazewnątrz.
Dwa małe dziewczątka stały na chodniku i zaglą-
dały przez parkan.

— Proszę pana — rzekła Janeczka na widok
głowy, ukazującej się z gęstwiny liści.—Proszę pa-
na, panna Pratt pojechała. Pojechała na pociągu.

— Tak myślisz? — zapytał poważnie.

— Widziałyśmy ją — rzekła Janeczka. — Rania
tam była i ja też. Sądję, że Wiluś chciał nas prze-
pędzić, ale myśmy się schowały w sali bagażowej
za kuframi i widziałyśmy, jak odjeżdżała.—Weszła
do wagonu, i wagon z nią odjechał. Słowo, że
odjechała, proszę pana.

Zanim odpowiedział, pan Parcher popatrzył
przeciągle na to telepatyczne dziecko. W jego czu-
łych oczach było ono cudem i drogim aniołeczkiem.

— No — *dziękuję* ci, Janeczko! — rzekł.

Janeczka atoli odwróciła głowę i zapatrzyła się
na róg ulicy, który był poza jego polem widzenia.

— Oo-oo-oo! — zamruczała.

— Co takiego, Janeczko?

— Wiluś!—rzekła.—To Wiluś i ten Józio Bullit, i Janek Watson, i pan Wal Banks. I panna Marysia Parcher. Idą tu wszyscy.

Pan Parcher jęknął cicho i zwrócił się patetycznie do żony, ale ona roześmiała się dla dodania mu otuchy.

— Och, oni tylko przyszli ze stacji z Marysią—rzekła. — Nie wejdą. Zobaczysz!

Z uczuciem ulgi pan Parcher zwrócił się znów do Janeczki—ale jej już nie było. Mignęła mu tylko w głębi ulicy; biegła tak prędko, jak tylko mogła, trzymając się za rękę z towarzyszką.

— Wyrrywaj, Raniu, wyrrywaj!—sapała Janeczka. —Muszę zdążyć do domu przed Wilusiem i o wszystkim mamusi opowiedzieć. Założę się, że się będę miała zpyszna w każdym razie, jak on przyjdzie.

Nie omyliła się pod tym względem: dostała się jej kara, która rozciągnęła się na całe popołudnie.

Kontynuowała się i po obiedzie, i wieczorem, kiedy śpiew i przeraźliwie zawodzące wołanie: „Janeczko! Hej! Janeeeeeczko!—zwabiły ją do otwartego okna na parterze. Zaczęło się właśnie zmierzchać. Nadole, na trawniku stała z umytą buzią Rania Kirsted.

— Wyjdź, Janeczko. Mamusia powiedziała, że mogę zostać na dworze i bawić się aż do wpół do dziewiątej.

Janeczka potrzęsnęła głową. — Nie mogę. Nie

mogę wyjść na dwór aż do jutra. To dlatego, że słyśmy za Wilusiem z „żołądkami wysadzonemi z zawias”.

— Ba! — wykrzyknęła lekceważąco Rania. — Moja mamusia nic mi za to nie zrobiła.

— Tak, bo jej nikt na ciebie nic nie powiedział — rzekła rozsądnie Janeczka.

— Zupełnie nie możesz wyjść? — nastawała Rania. — Idź, poproś mamy, powiedz jej... — Jakże mogę — zapytała Janeczka, trochę zapalczywie. — Kiedy jej niema w domu? Poszła na karty — z tatusem.

Rania machnęła nogą. — W takim razie — rzekła — muszę coś znaleźć do roboty! Dobranoc!

Ze schyloną w zamyśleniu głową oddaliła się i znikła w szarym zmroku, podczas gdy Janeczka odeszła od okna i poszła do otwartych drzwi frontowych. Sumienna jak zwykle, nie przekroczyła progu lecz ograniczyła się do wyrzżenia na dwór. Na schodkach werandy siedział samotny Wilhelm, zwrócony plecami do domu.

— Wiluś? — rzekła łagodnie Janeczka; nie odpowiedział, wobec czego podniosła trochę głos. — Wi-luuś!

— Czego chcesz? — mruknął, nie zmieniając pozycji.

— Wiluś, powiedziałam mamusi, że mi przykro, że ci zrobiłam na złość.

— Dobrze — odparł krótko.

— Jak będę szła do łóżka, Wilusiu — rzekła — mamusia powiedziała mi, że ponieważ ci zrobiłam przykrość, dziś będę musiała iść sama na górę.

Umilkła w złudnej nadziei, że coś powie, ale nie odezwał się.

— Wiluś, nie muszę jeszcze iść przez chwilę, ale jak będę musiała, może być, za jakie pół godziny, to chciałabym, żebyś stał nadole schodów, dopóki nie wejdę na górę. Na górze się świeci, ale wokół nadole jest dosyć ciemno.

Nie odpowiedział.

— Zrobisz to dla mnie, Wilusiu?

— Och, dobrze, *dobrze!* — odparł.

Zadowolona, rozsiadła się na podłodze, w samych drzwiach tak cicho, że przestał zdawać sobie sprawę z jej obecności, myśląc, że odeszła. Siedział i patrzył bezmyślnie w ciemność, która zapadła z nagłością, właściwą wrzesniowym wieczorom. Łokcie oparł o kolana, a całym ciałem pochylił się silnie ku przodowi w postawie, świadczącej o wielkiem przygnębieniu.

O uszy obijały mu się drwiąco stłumione, ściśnięte odgłosy miasta—tego miasta, tak dziś puste. Wydawało mu się nie do wiary, że takie głuche miasto mogło jak zwykle krzątać się koło swoich wieczornych czynności. Przechodzący ulicą mężczyzna i kobieta śmiali się głośno z czegoś, co powiedział mężczyzna; dźwięk ich śmiechu był dla Wilhelma okropny. Z ogromnej dali—z dalekich

pozamiejskich obszarów—doleciało słabe, przeciągłe gwizdanie lokomotywy.

Dla Wilhelma był to odgłos najsmutniejszy ze wszystkich. Samotne oko jego duszy przemierzało rozległe przestrzenie ku wschodowi, leciało przez łąki, rzeki, wzgórza za długim pociągiem, gwizdającym i pędzącym wśród ciemności, dalej, i dalej, i coraz dalej. Wilhelm wydał westchnienie, tak głębokie, tak grobowe, tak przeciągłe, że Janeczka, która jak długa rozciągnęła się na podłodze, zerwała się nagle i usiadła.

Ale była dość rozsądna, żeby się nie odzywać.

W tej chwili księżyc w pełni zajaśniał okazałe między gałęziami drzew, ocieniających werandę; przypominał ogromną piłką nożną, wspaniale pomarańczową. Wznosił się majestatycznie coraz wyżej, minął drzewa i przybrał zwyczajny wygląd srebrnej tarczy. Zakrawało to na nowe drwiny. Naco był *teraz* potrzebny księżyc?

Niebawem okazało się, że się jednak przydał.

Bezpośrednio po ukazaniu się wschodzącego księżyca z bliskiej odległości, z ulicy, dobiegł dźwięk śpiewającego, młodego, męskiego głosu; nie był to głos muzyczny, ale zato dostatecznie silny: ponadto śpiewak znał tylko część słów i melodji, którą chciał oddać, to też skończywszy znany sobie fragment, zaczynał go natychmiast znowu i śpiewał go wkółko, bez przerwy z cudowną cierpliwością. Głos zbliżał się do siedziby rodziny

Baxterów, śpiewając to, na co się odważył w cieniu nocy—zamiast gwizdania, tak, jak to miało miejsce w detonującym świetle dnia.

Moja ojczyzno, o tobie,
Słodka kraino wolności,
Moja ojczyzno, o tobie,
Słodka kraino wolności,
Moja ojczyzno, o tobie,
Słodka kraino wolności,
Moja ojczyzno, o tobie,
Słodka kraino wolności,
Moja ojczyzno, o..."

Janeczka przemówiła mimowoli. — To Fredzio — rzekła.

Wilhelm skoczył na równe nogi; to było coś, czego nie mógł znieść! Zrobił krwiożerczy wypad ku bramie, koło której przechodził właśnie śpiewak.

— *Ty wynoś się stąd!* — ryknął.

Śpiew umilkł. Fredzio Banks uciekł niby strzęp na skrzydłach wiatru.

...A teraz mamy do rozpatrzenia dziwną sprawę.

Starożytni prorocy przepowiadali przyszłość z powodzeniem. Uprawiali z pewnem „odniechcenia” tę sztukę, odtąd zarzuconą, ale częściowo wskrzeszoną przez M. Maeterlincka, który dowodzi nam, że przyszłość istnieje jednocześnie z teraźniejszością. Otóż, jeżeli jego dowody są prawdziwe, to w tym samym momencie, kiedy Wilhelm przepędzał groźnie Fredzia Banksa, czyste powietrze szczęśliwego, czerwcowego wieczoru—wieczo-

ru, w zwyczajnej rachubie wyprzedzającego o dziesięć lat, dziewięć miesięcy i dwadzieścia jeden dni obecny smutny wieczór—czyste powietrze szczęśliwego, czerwcowego wieczoru tak dalekiej przyszłości trzęsło się już naprawdę od dźwięków weselnego marsza, granego na kościelnych organach, i tenże Fredzio paradował z białym kwiatem w bu tonicie i w każdym szczególe wystrojony jak mistrz uroczystości weselnych tegoż Wilhelma, który teraz (podług zwykłej rachuby czasu) zagrażał jego osobie.

Ale nie na tem koniec.

Kiedy Wilhelm, powróciwszy do bramy, zabierał się zpowrotem do dumań na stopniach werandy, zobaczył nagle coś zdumiewająco fantastycznego. Nie wierzył początkowo własnym oczom, gdyż rozumiał, że to nieporównane widowisko miało na celu okazanie mu lekceważenia i wzgardy. W odległości nawet nie dziesięciu stóp od werandy—w białem świetle księżyca, rozjaśn ającym ścieżkę, wiodącą do bramy—maszerowała panna Marja Randolph Kirsted. Maszerowała z obelżywą pompatycznością w swej najefektowniejszej półkolistej postawie.

— *Ty wynoś się stąd!* — rzekła głosem tak grubym i chropawym, jak tylko mogła: — *Ty wynoś się stąd!*

Jej intencja jasna była jak księżyc. W swej własnej osobie przedstawiała mianowicie karyka-

ture Wilhelma, w ten sposób dając do zrozumienia, co o nim myśli, i mszcząc się za Janeczkę.

— *Ty wynoś się stąd!* — zaskrzeczała.

To skandaliczne zuchwalstwo odebrało dech Wilhelmowi. Dusząc się, szukał wyrazów.

— Ach, ty-ty! — krzyknął. — Ty-ty, brudasie, ty smarkaczu!

W ten sposób zwrócił się bezpośrednio po raz pierwszy w życiu do panny Marji Randolph Kirsted.

I to była najdziwniejsza rzecz z tego dziwnego wieczoru. Najdziwniejsza dlatego, że jak to bywa w życiu na powierzchni tego zdarzenia nie było nic szczególnego. Ale jeżeli M. Maeterlinck ma słuszość w tej sprawie i jeżeli czyste powietrze tego czerwcowego wieczoru tak zwanej, prawie o jedenaście lat odległej przyszłości naprawdę drżało już od dźwięków „Lohengrina”, to Wilhelm stał z Jankiem Watsonem na tle lasu kwiatów koło drzwi bocznej nawy kościoła, obwieszonych białymi atlasowymi wstęgami i razem z Jankiem Watsonem czekali na coś ważnego, mającego się właśnie zdarzyć. I oto—co się stało. Przy śpiewie: „Oto idzie oblubienica” ukazała się postać wspańialej, uroczystej, różanej, łagodnej młodej osóbki, błyszczącymi oczyma szukającej przez zasłonę welonu oczu Wilhelma.

Tak, jeżeli wielki M. Maeterlinck ma rację, to zdaje się, że Wilhelm powinien był dosłyszeć przynajmniej jakieś widmowe echo tego weselnego

marsza, choćby i najslabsze — parę tonów, czy akordów, drżących przed czasem na promieniach księżycowych tej wrześniowej nocy w osiemnastym roku jego życia.

Gdyż w księżycowym świetle stała przed nim jego przyszła. Był to fakt. Los nie miał tu już nic do powiedzenia, a nawet wspomnienie panny Pratt nie mogło rzucić najlżejszego cienia na to, co było nieuniknione.

Skoczył do niej rozwścieczony. — Ty-ty-ty, mała...

Ale nie dokończył, nie chcąc tracić tchu na próżno dla nikogo.

Jego przyszła drapnęła.

K O N I E C .

